

Barbara Cartland

Raj odnaleziony

Paradise Found



Rozdział 1

Rok 1814

Hrabia Fleetwood stał przed lustrem zawieszonym nad kominkiem i wiązał krawat ze zręcznością, która doprowadzała jego kamerdynera do furii. Ale hrabia lubił być samowystarczalny i często mawiał, że wszystko to, co wykonywano w jego różnych domach, potrafiłby zrobić lepiej niż ci, którym za to płaci.

Lady Oline Biunham obserwująca go z łóżka pomyślała, że nie ma chyba drugiego równie atrakcyjnego mężczyzny. Pieściła wzrokiem szerokie ramiona hrabiego, jego tors pod batystową koszulą, jego wąską talię i szczupłe biodra, osadzone na długich nogach, które wszyscy szewcy wysławiali jako stworzone do najmodniejszych obecnie, wysokich heskich butów. Jako kochanek hrabia Fleetwood był namiętny, gwałtowny i zdolny zadowolić każdą kobietę.

Może to dziwne, ale hrabia nie podziwiał w tym momencie urodziwej lady Oline, spoczywającej z wdziękiem na haftowanych poduszkach, lecz przyglądał się małemu przedmiotowi, który przed chwilą położył na kominku. Nadepnął na niego bosą nogą, wychodząc z łóżka, a że uraził go w stopę, podniósł i przyjrzał mu się z ciekawością, a potem odłożył na bok i zaczął się ubierać.

Teraz, gdy krawat był zawiązany bez zarzutu i okalał ciasno jego szyję, podtrzymując wysoko ponad brodą końce kołnierzyka tak, jak to zalecał Beau Brummell, hrabia zwrócił się do lady Oline z pytaniem:

- Czy twój mąż ostatnio szyje koszule u kogoś innego?

Oline Blunham zaśmiała się srebrzyście:

- Cóż za zabawne pytanie! Oczywiście, że nie! Edward szyje koszule u Jacksona na Jermyn Street, odkąd opuścił Eton, i ani mu się śni zmieniać go na kogo innego, tak jak nigdy nie porzuciłby Westona, który mu szyje żakiety.

- Tak właśnie sądziłem - rzekł hrabia. - Ja też uważam Jacksona za najlepszego w całym Londynie.

Dotknął na moment dolnego guzika u dołu swojej koszuli, jak gdyby chciał się upewnić, że nie przypomina ani trochę tego, który leżał na kominku. Potem włożył swój obcisły żakiet i poprawił starannie klapy. Odwrócił się od lustra przekonany, że trudno by było znaleźć w eleganckim świecie Londynu kogoś, kto byłby równie wytworny i jednocześnie tak męski.

Lady Oline wyciągnęła do niego ramiona z cichym okrzykiem:

- Jeśli już musisz iść, Alaric - powiedziała miękko - pocałuj mnie na do widzenia.

Była z pewnością prześliczna, z ciemnymi włosami opadającymi na białe ramiona, zielonymi oczami, które teraz patrzyły na niego kusząco, i ustami o żywej czerwieni.

Hrabia spoglądał na nią przez dłuższą chwilę; potem na jego twarzy pojawił się twardy wyraz; usta ściągnęły się w wąską linię, gdy zwrócił się do niej:

- Dzięki, Oline, za rozkosze, jakich zaznałem u ciebie, lecz zdaje mi się, że twój ostatni gość zgubił coś, czego może tu szukać.

Mówiąc to hrabia podszedł do łóżka, włożył guzik, który wziął z kominka, w rękę lady Oline i zacisnął na nim jej dłoń.

- Co ty mówisz? O co ci chodzi? - pytała jękając się ze zdenerwowania lady Blunham.

Nie otrzymała żadnej odpowiedzi, bo hrabiego już nie było. Słyszała tylko jego kroki, gdy cicho schodził po schodach. Otworzyła rękę, spojrzała na to, co leżało na jej miękkiej różowej dłoni i z okrzykiem wściekłości cisnęła guzik w kąt pokoju.

Hrabia opuścił pałac Blunham przy Queen Street, pospieszył w półmroku poranka na Berkeley Square i po kilku minutach znalazł się we własnym domu.

Zmęczony nocnym czuwaniem służący usiłował stłumić ziewanie, gdy wpuszczał jego lordowską mość do domu. Potem zamknawszy drzwi wrócił ziewając na wygodny fotel, w którym zamierzał drzemać do chwili, gdy obudzą go służące. Rozpoczęły o piątej sprzątanie i odkurzanie domu.

Hrabia jednak idąc w górę po biegnących łukiem schodach, a potem wzdłuż korytarza do swej sypialni - nie ziewał.

Myślał właśnie, że jeśli istniało coś, co mogło go wyprowadzić z równowagi, to z pewnością była to niewierność kochanek. To, że żony są niewierne swoim mężom, można uznać za normalne w eleganckim świecie, w którym się obracał. Ale nie mógł akceptować kochanki, która twierdząc, że go kocha, przyjmowała w łóżku innych mężczyzn za jego plecami. Nie przyszłoby mu do głowy, że podczas trzech dni, które spędził na wsi, Oline pomimo deklaracji miłosnych, jakie mu czyniła, może sobie wziąć innego kochanka! Powinien był się domyślić, że była nienasycona i że dla niej w gruncie rzeczy jeden mężczyzna nie różnił się od drugiego. Hrabia był jednak wystarczająco zarozumiały, żeby sądzić, iż jest kimś wyjątkowym dla kobiet, które darzył swymi względami. Edward Blunham mógł się godzić z niewiernością swojej żony, ale on nie miał zamiaru godzić się z niewiernością kochanki.

Hrabia był człowiekiem wybrednym i żył według zasad, które sam sformułował i których surowo przestrzegał.

Choć było w modzie w jego otoczeniu korzystać z łask kilku sławnych piękności beau monde'u jednocześnie, i uznawano za zupełnie dopuszczalne, aby dżentelmen, jeśli go na to było stać, wiodł dość rozwiązłe życie, nie zgadzało się to

z prywatnym kodeksem hrabiego; miał nie więcej niż jeden romans naraz, ale za to oddawał mu się z zapalem i znawstwem, które wyrobiły mu opinię „nieodpartego”.

Oddając się na usługi jednej kobiety, która go właśnie interesowała, oczekiwał tego samego od niej.

Kładąc się do swego wygodnego łóżka, w którym niejedną z jego przodków urodził się i umarł, postanowił, że nigdy już nie złoży wizyty lady Oline Blunham. Wyrzucił ją ze swoich myśli tak dokładnie, jakby nigdy nie istniała.

Trochę później tego samego ranka hrabia, pomimo nieco męczącej nocy, udał się na konną przejażdżkę do Hyde Parku. Ostatnio kupił w Tattersalu, słynnym końskim targu w Londynie, konia, który wymagał od jeźdźcy niezwykłych umiejętności.

Wróciwszy, jadł właśnie z apetytem śniadanie, gdy drzwi pokoju jadalnego otworzyły się i wszedł jego przyjaciel, lord Charles Egham.

- Dzień dobry, Charles - rzekł hrabia nie podnosząc oczu znad gazety, którą przeglądał.

- Późno wstałeś - zauważył Charles Egham. - Czemu się nie dziwię, bo widziałem, że wyszedłeś z balu razem z Oline.

Hrabia milczał, co nie zdziwiło lorda, który doskonale wiedział, że nie jest w zwyczaju przyjaciela opowiadać o swoich miłostkach. Dlatego też sięgnął po prostu po półmisek z cielęciną duszoną ze świeżymi grzybami, którą rano dostarczono ze wsi, i zasiadłszy do stołu, posilał się z wielkim apetytem.

- Co zamierzasz dziś robić? - spytał, gdy zaspokoił pierwszy głód.

- Jadę na wieś - odpowiedział hrabia. Przyjaciel patrzył na niego ze zdumieniem.

- Jedziesz na wieś? Ależ wróciłeś dopiero wczoraj!

- Tak, wiem, ale nic mnie nie trzyma w Londynie, a poza tym mam dwa konie, które wymagają treningu. Jedź ze mną, pomożesz mi.

Lord Charles ciągle nie odrywał od niego wzroku.

- Nie rozumiem cię, Alaric - powiedział. - Kiedy wczoraj wróciłeś, czekało na ciebie z tuzin zaproszeń i słyszałem, jak zleciłeś sekretarzowi przyjąć je wszystkie.

- Zmieniłem zamiar.

Nastąpiła chwila ciszy, potem lord Charles powiedział pytającym tonem:

- Oline robi się nieznośna?

- Nie znam nikogo o tym imieniu - krótko oświadczył hrabia.

Lord Charles odchylił się do tyłu na krześle i spojrzał na swojego przyjaciela z błyskiem w oku.

- Myślę, że znam przyczynę tej zmiany uczuć - rzekł.

- Możesz ją zachować dla siebie - odparował ostro hrabia.

- Nie mam ochoty o tym mówić. Jedziesz ze mną na wieś czy nie?

- Oczywiście, że jadę - odparł lord Charles. - Nie miałem w ustach przyzwoitego posiłku, odkąd wyjechałeś, a zawsze twierdziłem, że twój dworski kucharz jest jeszcze lepszy niż tutejszy, w Londynie.

Powstał, żeby dołożyć sobie następnej potrawy z półmiska. Było ich z pół tuzina; lord Charles wahał się chwilę między dwoma, wreszcie wybrnął z sytuacji biorąc z każdego po trochu.

Hrabia nie zajmował się nim. Wiedział doskonale, że Charles, jako młodszy syn zubożałego księcia, bez jego pomocy miałby nie tylko kłopoty, żeby się wyżywić, lecz także nie mógłby osiąść przyzwoitego konia.

On i Charles Egham byli razem w Eton i służyli trzy lata w tym samym pułku, aż do chwili, kiedy Alaric po śmierci swego ojca zmuszony był opuścić armię.

Hrabia czytał właśnie sprawozdanie z działań wojennych armii Wellingtona, która, przebiwszy się przez Hiszpanię, zagrażała teraz Napoleonowi na południu Francji.

Odłożył na bok Morning Post i powiedział:

- Wiesz co, Charles, mam cholerną ochotę znowu się zaciągnąć, bez względu na to, co Książątko może o tym sądzić.

- Już o tym wspominałeś wcześniej - odpowiedział lord Charles - ale jego wysokość podkreślił bardzo wyraźnie, że nie życzy sobie, aby ktoś o takim znaczeniu jak twoje został zabity lub wzięty do niewoli.

- Wiem, że tak powiedział - odrzekł hrabia ze złością - ale to jest wolny kraj i jeśli zechcę za niego walczyć, zrobię to.

- Rozumiem twoje uczucia, ale z drugiej strony wiesz nie gorzej ode mnie, ile jest do zrobienia w twoich posiadłościach. A jeśli cię zabraknie, wątpię, czy te nowe obszary ziemi, które zacząłeś uprawiać dla potrzeb kraju, wydadzą oczekiwane plony.

Hrabia odsunął od siebie talerz i oparł się łokciami na stole.

- Czuję się fatalnie: siedzę tu w Anglii i chodzę z balu na bal, od kobiety do kobiety, gdy powinienem" być z tymi, którzy walczą, aby położyć kres tyranii Napoleona w Europie, tam gdzie się jeszcze ostała.

- Jeśli tak mocno to odczuwasz, porozmawiaj jeszcze raz z księciem regentem.

Hrabia odstawił filiżankę z kawą.

- Wiem dokładnie, co powie - odparł - i obawiam się, że Wellington powie to samo. Że też mój ojciec musiał umrzeć, zanim się wojna skończyła!

- Wygląda na to, że jej koniec już blisko - powiedział lord Charles pogodnie. - Mówią, że Napoleon jest w rozpaczliwej sytuacji i że Wellington kroczy przez Francję z szybkością, o jaką go nikt nie posądzał.

Hrabia westchnął i oparł się o poręcz krzesła. Na jego twarzy malowała się gorycz.

- Ja chcę być tam, razem z nim!

- Co cię tak wytrąciło z równowagi? - spytał Charles ze współczuciem.

- Tu nie chodzi o jakąś jedną szczególną sprawę - odparł hrabia. - Lecz tę irytującą świadomość, że wiem, co się będzie działo dzień po dniu, noc po nocy. - Przerwał, a potem dodał z wściekłością: - Chcę działać! Potrzebna mi jakaś podnieta! Chcę tego, co mieliśmy w Portugalii!

- Głównie niewygody i pchły! Mimo woli hrabia roześmiał się.

- To prawda! Nigdy nie zapomnę brudu, jaki panował w domach, w których przychodziło nam spać, i tych kobiet, które wlokły się za wojskiem.

- Jeśli chcesz znać prawdę," to ci powiem, że obaj jesteśmy już trochę za starzy na coś takiego i jeśli ty nie cenisz sobie miękkiego łóżka, z towarzystwem lub bez, to ja na pewno tak! Hrabia ponownie się roześmiał:

- Ty, Charles, zawsze potrafisz poprawić mi humor. Jedźmy więc na wieś! Moje konie wydają mi się bardziej interesujące i na pewno kryją w sobie więcej niespodzianek niż kobiety, z którymi spędzamy tu czas.

Lord Charles spojrział kątem oka na hrabiego i zdecydował, że ostatniej nocy Oline Blunham z pewnością przeciągnęła strunę.

Był przyzwyczajony do tego, że hrabia szybko się nudził kobietami, które u początku romansu bardzo go fascynowały. Ale jeszcze wczoraj widząc hrabiego przed obiadem, był

pewien, że nie może on się doczekać spotkania z lady Oline. Ona też z pewnością witała go z bijącym sercem; musiało więc zajść coś nieoczekiwanego.

Serca wszystkich kobiet biły mocno, gdy chodziło o hrabiego i nieodmiennie zawsze on pierwszy zrywał, ale nigdy nie odbywało się to tak dramatycznie jak teraz.

Lord Charles był zbyt taktowny, żeby swoje wrażenia wyrazić na głos; zamiast tego, smarując grzanekę wybornym masłem z własnej mleczarni hrabiego, powiedział:

- Powinienem pójść i spakować swoje rzeczy. Jak sądzę, jedziesz faetonem?

- Oczywiście - odparł hrabia. - Ale po co masz się fatygować. Wyślij lokaja do swojego służącego, żeby spakował to, co ci będzie potrzebne, i przywiózł tu dorożką.

Mówiąc to zadzwonił złotym dzwoneczkiem, który stał na stole. Drzwi otworzyły się natychmiast i wszedł Danvers, któremu lord Charles wydał odpowiednie polecenie.

- Danvers - dodał hrabia - za godzinę wyjeżdżam.

- Czy jedzie pan do Fleet, milordzie?

- Tak.

- Słucham, milordzie. Dopilnuję, żeby wszystko było gotowe.

Kamerdyner zamknął drzwi, a lord Charles wybuchnął śmiechem.

- Nieraz się zastanawiam, czy nadejdzie taki dzień, kiedy Danvers wyrazi zdziwienie z powodu twojego rozkazu lub go zakwestionuje.

- Dlaczego miałby to zrobić?

- Bo jesteś nieobliczalny, mój drogi, i chwilami zaskakujesz nawet mnie.

- Mówisz niedorzeczności - rzekł hrabia wstając. - Nie ma nic zaskakującego w tym, że wolę wieś od Londynu i czcnych

rozmów, jakie się słyszy na każdym przyjęciu. Z góry wiem, co kto powie.

Mówiąc to wyszedł z jadalni, a Charles domyślił się, że udaje się do biblioteki. Czekał tam na niego stos listów już otwartych przez sekretarza. Te, które wymagały odpowiedzi, leżały oddzielnie, oczekując na werdykt hrabiego.

Lord Charles wypił jeszcze łyk kawy i wzięwszy duże jabłko ze stojącej na stole salaterki z sewrskiej porcelany, zaczął je obierać, podążając za hrabią. .

Gdy weszli do biblioteki, miłego pokoju, którego ściany wypełniały półki z książkami, a okna wychodziły na mały dziedziniec za domem, hrabia otworzył jedno z nich, jakby mu brakło powietrza.

Lord Charles, zjadłszy połowę jabłka, wyrzucił resztę za okno, na rabatę z kwiatami.

- Gdyby ci nie było tak bardzo spieszno do wyjazdu, zaproponowałbym ci spotkanie z pewną niezwykle atrakcyjną panią, która w ostatnich dniach przykuwała powszechną uwagę w pałacu St James.

- Mnie to nie interesuje - powiedział stanowczo hrabia. - Ja potrzebuję przygody, jakiejś podniety, kogoś, kto nie pachnie egzotycznymi perfumami i potrafi mówić o czymś więcej niż tylko o miłości.

- A o czym jeszcze warto mówić?

- Nie mam nic pod ręką, czym mógłbym w ciebie rzucić - rzekł hrabia, siadając przy biurku. - Widzę, że chcesz mnie sprowokować, a skoro masz mnie nękać jak żona sekutnica, powiem ci; co chcesz wiedzieć: skończyłem z Oline na zawsze!

- Domyśliłem się tego - rzekł lord Charles. - Jak sądzę, dowiedziałaś się, że odwiedzał ją Napier.

- A więc to był on! - wykrzyknął hrabia.

- Bardzo się starali, żebyś się nie domyślił - ciągnął Charles. - Lecz przypadkiem zobaczyłem, jak wchodzili razem do gabinetu w Białym Dworze.

Biały Dwór był najmodniejszym „pałacem przyjemności” w londyńskim West Endzie. Jak hrabia dobrze wiedział, na pierwszym piętrze mieściły się prywatne gabinety, gdzie pary, które chciały się ukryć przed światem, mogły zjeść obiad na osobności i wyjść tylnymi drzwiami.

- A co ty robiłeś w Białym Dworze? - spytał hrabia. - Wiemy dobrze obydwaj, że nie stać cię na ich idiotycznie wygórowane ceny.

- Tego nie mogę ci wyznać - odparł lord Charles.

- Inaczej mówiąc, płaciła ona! - zaśmiał się hrabia. - Przewiduję, że możesz wpaść w kłopoty, Charlie. Im wcześniej wyjedziemy na wieś, tym lepiej dla nas obu.

- To znaczy, że uciekasz! Ale ja ciągle nie wiem, jak się dowiedziałeś o Napierze.

- Zostawił wizytówkę w formie guzika od koszuli - odpowiedział krótko hrabia.

Lord Charles rzucił się na krzesło i śmiał się na cały głos.

- Guzik od koszuli! - wykrzykiwał. - Tylko ty, Alaric, jesteś zdolny zauważyć coś tak małego i nieważnego.

- W rzeczy samej, stanąłem na nim bosą nogą - wyjaśnił hrabia. Jego przyjaciel śmiał się tak, że łzy ciekły mu z oczu. Potem uspokoił się trochę i rzekł:

- Masz rację. To wszystko jest raczej poniżej twojej godności i twojej pozycji. Istnieją chyba ważniejsze sprawy.

- Jeśli są, poszukajmy ich - odpowiedział hrabia. Dzięki przyjacielowi jego przystojna twarz odzyskała wyraz pogody, a usta nie zaciskały się już w zaciętą linię.

Gdy byli razem, trudno im było nie zachowywać się tak jak dawniej, kiedy to po raz pierwszy wstąpili do wojska i

wkrótce uzyskali zarówno wśród oficerów, jak i swoich podwładnych miano „strasznych bliźniąt”.

Ciągle wówczas wpadali w jakieś tarapaty, a mimo to zazdrozczono im, bo wydawało się, że bardziej niż ktokolwiek inny potrafią się cieszyć życiem.

Pomimo szaleństw i picia, na jakie sobie pozwalali zaraz po opuszczeniu szkoły, wszyscy, którzy ich znali, musieli przyznać, że obaj byli bardzo inteligentni i o wielu sprawach wiedzieli nierównie więcej niż ich rówieśnicy. Przeróżne eskapady, jakie wymyślali będąc w wojsku, nie przeszkadzały im dbać o podwładnych. Żołnierze, którzy służyli pod nimi, wydawali się bystrzejsi i o wiele szczęśliwsi niż wszyscy inni z oddziałów w całej Portugalii.

Ostatnio poinformowano hrabiego, że gdyby sobie życzył, mógłby otrzymać wyższe stanowisko w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ale choć pochlebiała mu ta propozycja, zdawał sobie sprawę, że przesiadywanie przez wiele godzin za biurkiem w ministerstwie doprowadziłoby go do frustracji. Toteż podziękował premierowi, który mu to stanowisko zaoferował, ale odmówił, tłumacząc się nawałem pracy w swoich posiadłościach.

Premier wiedział, że hrabia robi bardzo dużo na rzecz wojny produkując w swoich dobrach wielkie ilości tak potrzebnej krajowi żywności, więc dłużej nań nie nalegał.

Księżę regent natomiast miał dla nich zgoła inne propozycje. Lubił towarzystwo zarówno hrabiego, jak i lorda Charlesa, więc często domagał się, aby w miarę możliwości dotrzymywali mu towarzystwa.

Pierwszy zbuntował się hrabia.

- Jeśli jeszcze raz będę musiał zjeść obiad złożony z dwunastu dań - oznajmił - rozpocznę głodówkę!

- Ja nie mam mu za złe jego obiadów - wyznał lord Charles - ale upał, jaki panuje w pałacu Carlton, jest dla mnie

nie do zniesienia. Dlaczego Książątko nie pozwala otwierać okien?

- Jemu jest zimno!

- Przecież jest taki gruby! Te warstwy tłuszczu powinny go chronić przed zimnem!

Jednak te narzekania na nic się nie zdawały: wprawdzie kiedy księżę regent wzywał ich do pałacu, wymyślali różne wymówki i usprawiedliwienia, aby się tam nie zjawiać, ale nie mogli, niestety, powtarzać ich w nieskończoność. Tylko wyjazdy na wieś do hrabiego pozwalały im unikać przeciągających się posiłków, wieczorów muzycznych i co najgorsze, różnych balów, które księżę urządzał w pałacu Carlton pod byle pretekstem.

Zdaniem Charlesa jedyną pociechą było to, że chociaż księżę regent otaczał się przeważnie starszymi damami, każda młoda piękność w Londynie wcześniej czy później trafiała do sali chińskiej, oranżerii, żółtego salonu czy jakiejś innej komnaty pałacu, który księżę nieustannie upiększał nowymi dziełami sztuki, mimo że nie bardzo było go na to stać.

W chwili gdy hrabia, skończywszy podpisywać listy, miał wstać od biurka, do biblioteki wszedł jego sekretarz, pan Stevenson.

- Aha, dobrze, że jesteś, Stevenson - ożywił się hrabia. - Odwołaj wszystkie moje spotkania w najbliższych dniach i odpowiadaj odmownie na zaproszenia.

- Czyżby zapomniał pan, panie hrabio, że jest pan zaproszony do pałacu Carlton na jutrzejszą kolację? - zapytał Stevenson z szacunkiem.

- Zapomniałem, rzeczywiście - przyznał hrabia.

- Jego wysokość będzie wściekły, jeśli znowu sprawimy mu zawód - wtrącił lord Charles.

- Nic na to nie poradzę - odpowiedział hrabia. - Stevenson, wyślij list z wyjaśnieniem, że, niestety, pilne

sprawy rodzinne zmuszają mnie do natychmiastowego wyjazdu z Londynu.

- To właśnie napisaliśmy ostatnio, milordzie.

- A więc napisz, że był pożar albo że wybuchła rewolucja w moich posiadłościach. Co chcesz! Nikt mnie nie powstrzyma od wyjazdu na wieś.

Stevenson miał zafrasowaną minę, ale lord Charles tylko się śmiał.

- Ledwie tam dojedziesz, już będziesz chciał wracać - rzekł.

- Chcesz się założyć? - spytał hrabia.

- Nic z tego! Wtedy zostałbyś pewnie dłużej, żeby wygrać ode mnie ostatniego pensa.

- W porządku, żadnych zakładów! - rzekł hrabia. - Ale zapewniam cię, że wieś pociąga mnie o wiele bardziej niż wszystko, co można mieć w Londynie.

Lord Charles słuchał jednym uchem. Podeszedł do biurka, usiadł na krześle, które zwolnił hrabia, i zaczął pisać jakiś liścik na leżącym tam papierze listowym z koroną hrabiego. Włożył go następnie do koperty, zaadresował i zwrócił się do Stevensona:

- Czy byłby pan tak uprzejmy wysłać to przez posłańca?

- Oczywiście, milordzie.

Hrabia rzucił szybkie spojrzenie na list, w chwili gdy sekretarz brał go z rąk Charlesa, a na jego ustach pojawił się lekki uśmiezek. Przez hall przeszli do drzwi pałacu. Na podjeździe czekał już na nich faeton na wysokich kołach. Był to nowy nabytek, dopiero co dostarczony przez fabrykanta powozów, a w zaprzęgu stała czwórka świetnie dobranych kasztanów, które hrabia kupił w ubiegłym roku.

Były to jego ulubione konie i z góry cieszył się na przyjemność powożenia nimi do Fleet. Gdy brał lejce do ręki,

przypomniawszy sobie, że jego rekord na tej trasie wynosił dwie godziny i pięć minut.

Lord Charles wspiął się na siedzenie obok hrabiego, stangret w kapeluszu z kokardą usadowił się z tyłu i ruszyli.

Trudno by było znaleźć kogoś powożącego lepiej niż hrabia.

Jechali jakiś czas w milczeniu, zanim hrabia odezwał się:

- Cieszę się, że jedziesz ze mną, Charles. O wiele mi weselej, gdy jesteśmy razem. Ale mimo to, jak ci już mówiłem przedtem, ogarnia mnie czasem uczucie przygnębienia.

- Nie ma na to rady, Alaric - rzekł lord Charles z większą niż zwykle powagą. - Nie można cofnąć zegara i cokolwiek byś twierdził, obaj będziemy mieli po trzydzieści trzy lata, zanim minie rok, a jest to wiek, kiedy czas się ustatkować.

- W jaki sposób, jeśli wolno spytać?

- Żeniąc się, na przykład.

Hrabia roześmiał się.

- Jeśli w ciągu ostatnich dwóch lat spotkałem jakieś młode damy nadające się na żonę, to uszło to mojej uwagi.

- Były takie, oczywiście, ale ty postanowiłeś nie dostrzegać ich - rzekł lord Charles. - Natomiast ich matki wahały się między pragnieniem zdobycia cię jako bogatego, a więc pożądanego zięcia, a obawą, że przez sam fakt zatańczenia z którąś z nich zniszczysz jej reputację i zniweczysz biedaczce szanse na zamążpójście.

- Wielkie nieba! Czyżby opinia o mnie była aż tak okropna?

- Niewiele do tego brakuje - odparł Charles - ale kto może cię za to winić? Masz wszystko, czego mężczyzna może pragnąć, więc kobiety krążą koło ciebie jak głodne pszczoły koło garnka z miodem.

Hrabia roześmiał się i rzekł:

- Nie jestem pewny., czy starasz się być poetyczny, czy jesteś po prostu impertynencki.

- Sam sobie odpowiedz - odparował lord. - A teraz, skoro już o tym mowa, uważam, że najwyższy czas, abyśmy zrobili coś rozsądnego i konstruktywnego. Jeśli chodzi o mnie, to prawie całą energię i inteligencję zużywam na utrzymanie się przy życiu.

- Jeśli to prawda, to postępujesz naprawdę głupio - rzekł hrabia. - Dobrze wiesz, że jestem gotów podzielić się z tobą wszystkim, co mam. O wiele chętniej z tobą niż z jakąś łąpczywą niewiastą, którą mam „obdarzyć” całym swoim ziemskim dobytkiem”.

- Nikt ci nie dorówna w dobroci - rzekł z powagą Charles - ale w moim wieku powinienem umieć sam zadbać o siebie, choć trudno powiedzieć jak.

- Nie mówiłeś mi, co się stało z tymi wszystkimi pieniędzmi, które miał jeszcze twój dziadek?

- Mogę na to odpowiedzieć w dwóch słowach: karty i hulanki. Był niepoprawnym hazardzistą i pewnej nocy u Wattiera przegrał trzy place i czternaście ulic w samym centrum Londynu oraz tysiąc akrów naszej najlepszej ziemi na wsi.

- Twój ojciec musiał bardzo tego żałować, kiedy odziedziczył majątek.

- Jaki majątek? Odziedziczył dom, który się prawie rozpadał, i mnóstwo długów, które ciągle spłacamy, rok po roku, z tych nędznych resztek zwanych „fortuna” - mówił z goryczą Charles. Potem dodał: - Mnie nawet i to nie przypadnie, bo jak wiesz, mam dwóch starszych braci. Więc nie powinienem się przejmować. Lecz przykro patrzeć, jak rodzice prowadzą beznadziejną walkę, bez nadziei na sukces, a matka jest coraz bardziej zmęczona i przedwcześnie

postarzała, bo nie może sobie pozwolić na odpowiednią ilość służby.

- To naprawdę fatalna sytuacja - zgodził się hrabia - ale chyba powinien się znaleźć jakiś sposób, aby zdobyć trochę pieniędzy.

- Na przykład jaki? - spytał lord Charles.

Zapadła cisza, a hrabia zdał sobie sprawę, że nie ma odpowiedzi na to pytanie. Gdyby nie pomógł swemu przyjacielowi, ten, nie mając odpowiednich dochodów, nie mógłby znaleźć się w eleganckim pułku kawalerii, w którym służyli obaj. Dlatego także, gdy był zmuszony wykupić się z wojska w chwili zgonu swego ojca, wykupił też Charlesa. Przyjaciel nie miał środków, by się w tym pułku samemu utrzymać.

A teraz, choć to wydawało się śmieszne, hrabia uważał, że przyszłość ich obu rysuje się dość ponuro, chociaż on sam miał wszystko, co można dostać za pieniądze. W głębi duszy jednak tkwiła w nim tęsknota do czegoś więcej, czego nie umiał nazwać.

W chwilach szczerości przyznawał, że marnuje swoje liczne zdolności, a jego przyjaciel przestrzegał go, iż życie tylko dla przyjemności i miłości z coraz to nowymi kobietami nigdy całkowicie go nie zaspokoją.

- Czego ja chcę? I jak mogę to zdobyć, jeśli nie wiem, co to jest? - zapytał.

Ponieważ odpowiedź na to nie była łatwa, dwaj przyjaciele jechali dalej prawie w zupełnym milczeniu.

Gdy przybyli do Fleet, olbrzymiego dworu odziedziczonego po przodkach, hrabia spojrzął na zegarek i rzekł:

- Dwie godziny i trzy minuty. To chyba nowy rekord.

- Na pewno tak - zgodził się lord Charles. - I jedyne, co ci pozostaje, to wracać jutro i pobić własny rekord skracając czas o dalsze pięć minut.

- Nie zrobię nic podobnego!

Hrabia popatrzył przed siebie i pomyślał z zadowoleniem, że w słońcu, które błyszczało w oknach, Fleet był naprawdę pięknym domem. Ongiś była to budowla klasztorna, ale potem każdy kolejny właściciel coś do niej dobudowywał, aż wreszcie w połowie osiemnastego stulecia dziad obecnego hrabiego kompletnie zmienił wygląd pałacu.

Teraz kolumny z jońskimi głowicami podtrzymywały portyk wznoszący się nad kamiennymi schodami, które prowadziły do głównego wejścia. Ślady dawnego klasztoru zniknęły, a Fleet stał się, w pełnym tego słowa znaczeniu, szlacheckim dworem w stylu króla Jerzego.

Wznosił się pośrodku wspaniałego parku, zaprojektowanego przez najlepszego architekta ogrodów w Anglii, a przed frontem lśniło spore jezioro, po którym pływały białe i czarne łabędzie.

Na szczycie domu powiewała chorągiew z barwami hrabiego, a stojące wzdłuż brzegów dachu posągi bogiń pięknie rysowały się na tle błękitnego nieba.

- To jest dom ze snów - mówił sobie często hrabia i nigdy nie mógł patrzeć nań bez dreszczu wzruszenia, że to jego własność. Bo był to istotnie dom z marzeń. Teraz jednak przyszło mu na myśl, że od chwili, gdy go odziedziczył, rodzina często mu przypominała, iż powinien się ożenić i spłodzić nie jednego, ale z pół tuzina dziedziców, aby zachować ciągłość rodu.

- Twój ojciec był wielce zawiedziony, że miał tylko jednego syna - dowodziły jego ciotki z minami, jakby to było coś niesłychanego. - Musisz się postarać, póki jeszcze jesteś młody, żeby pokoje dziecinne były pełne i żebyśmy nie

musiały się martwić tak jak wtedy, gdy byłeś w wojsku, o ciągłość rodu Fleetwood.

Jakie to dziwne, myślał często hrabia, że w jego rodzinie była taka przewaga córek. Jakby jakaś klątwa ciążyła na rodzinie nie pozwalająca jego członkom na wydawanie na świat synów.

- Wcześniej czy później będę się o to musiał postarać - obiecywał sobie hrabia.

A potem dochodził do wniosku, że narzekania narzekaniami, a bawi go pobyt w Londynie: tyle tam pięknych kobiet gotowych mu paść w ramiona! I nie widział powodu, żeby się żenić teraz, a nie gdy będzie starszy.

Przyznał teraz przed sobą, że Charles miał rację mówiąc, iż mężczyzna trzydziestodwuletni może się wydawać stary osiemnastoletniej czy dziewiętnastoletniej dziewczynie. Dziewczyny zaś mające więcej lat albo były brzydkie i groziło im staropanieństwo, albo jeśli były ładne, miały już mężów. Sama myśl o małżeństwie przejmowała go dreszczem.

Był mężczyzną i korzystał z łask, jakie mu ofiarowywano. Byłby świętoszkiem, gdyby odmawiał kobietom, które oddawały mu swoje serca i ciała bez jednej myśli - jak się wydawało - o swoich mężach. Lecz towarzyszyło mu przy tym dziwne uczucie, że kiedy poniża jakiegoś mężczyznę, biorąc jego żonę w ramiona, poniża także samego siebie. Czuł, jakby ci pobłażliwi mężowie obrażali w ten sposób cały rodzaj męski. A przecież tak postępowano w jego świecie i był to świat, do którego on też należał. Gdyby się zdradził ze swoimi myślami, wywołałby huragan śmiechu i pogardę otoczenia.

Regent jako książę Walii dawał przykład takiego postępowania, romansując wciąż z coraz to innymi pięknymi kobietami. Wszystkie one były mężatkami z wyjątkiem pani Fitzherbert, wdowy. Jego małżeństwo z księżniczką Karoliną okazało się nieudane, więc po ślubie szybko powrócił do

swoich mężatek, które mu bardziej odpowiadały i których mężowie prawdopodobnie uważali za wyróżnienie, że Jego Królewska Wysokość pragnie czegoś, co oni legalnie posiadają.

- Niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę swojej żonie zachowywać się w ten sposób - mówił sobie hrabia dziesiątki razy, idąc po schodach domu jakiegoś dżentelmena do sypialni jego żony.

Ale ponieważ łatwiej jest płynąć z prądem niż przeciw niemu, hrabia nie wyjawiał swojego zdania paniom, które go zapewniały, że ich mężowie nie interesują się już nimi albo że wyjechali na kilka dni, na szczęście.

Ostatniego roku to, co przedtem tylko przelatywało mu przez głowę, stopniowo przerodziło się w niechęć i gdy ogień pożądania wygasał, potajemne stosunki miłosne pozostawiały w nim posmak czegoś taniego i brudnego.

Teraz, gdy zbliżał się do swego domu, postanowił, że wprowadzi pod ten dach jako swoją żonę tylko taką kobietę, której postępowania i godności będzie pewien.

Gdyby się kiedykolwiek przekonał, że jego żona romansuje z mężczyzną takim, jak on sam, udusiłby ją! I zaraz przyszło mu do głowy, że nie znajdzie zrozumienia w tej kwestii nawet u Charlesa, który te myśli skwitowałby głośnym śmiechem. A jednak, gdy zatrzymał się przed frontowym wejściem ozdobionym portykiem, a służący w eleganckich liberiach rozwijali przed nim czerwony chodnik, wiedział dokładnie, czego chce. Jedyłą trudność stanowił fakt, że nie mógł tego nigdzie znaleźć.

Hrabia Alaric i lord Charles zostali powitani w hallu przez majordomusa, a czterech służących czekało, aby wziąć od nich kapelusze i płaszcze podróżne.

- Miło pana widzieć w domu, milordzie - rzekł z szacunkiem szef służby. - Lunch zostanie podany za dziesięć minut, jeżeli milord sobie życzy.

Lord Charles był świadom faktu, że gdy w Londynie hrabia oznajmił o zamiarze wyjazdu do swej posiadłości na wsi, natychmiast wysłano chłopaka stajennego z Berkeley Square, aby zawiadomił Fleet o terminie jego przyjazdu. Zawsze go jednak bawiło, gdy mógł obserwować, jak z chwilą pojawienia się hrabiego wszystko tu szło jak w zegarku: szampan był schłodzony do odpowiedniej temperatury, w bawialni stały świeże kwiaty, a zasłony w oknach były opuszczone dokładnie do takiej wysokości, aby słońce nie raziło w oczy.

Weszli do małego pokoju jadalnego, z którego hrabia zawsze korzystał, kiedy nie podejmował gości obiadem. Każda potrawa mogła zachwycić epikurejczyka, a wina z obszernych piwnic hrabiego były w znakomitym gatunku. Posilając się, dwaj przyjaciele rozmawiali najpierw o koniach, potem o wojnie. Gdy służba odeszła, usiedli w wygodnych fotelach z kieliszkami dostatej brandy w zasięgu ręki. Lord Charles nabrał wówczas przekonania, że poczucie wygody i zadowolenia rozwieje irytację i przygnębienie, jakie opanowało hrabiego na początku dnia.

- Pierwszą rzeczą, jaką trzeba zrobić - powiedział hrabia - to wyprowadzić konie, które chcę ujeździć i dać im lekcję posłuchu.

- Dobry pomysł - zgodził się Charles. - Mam nadzieję, że mój strój do konnej jazdy został już wypakowany.

- Jeśli nie, to zrobię piekło!

- Żartowałem tylko - zastrzegł się lord Charles. - Dobrze wiesz, że służba we Fleet jest idealna. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, żeby coś tu było nie w porządku i budziło zastrzeżenia.

- Chyba masz rację - rzekł hrabia - ale spodziewam się, że moja przyszła żona, jeśli ją kiedykolwiek będę miał, znajdzie gdzieś ślady kurzu i zrobi parę uwag o pracy choćby najniższej pomocy kuchennej.

Lord Charles spojrział na hrabiego z błyskiem zainteresowania w oczach.

- Czyżbyś myślał o małżeństwie?

- Myślę, że prędzej czy później będę musiał to zrobić.

- To nie jest właściwe podejście do sprawy... - zaczął lord Charles, ale w tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł lokaj. Podszedł do hrabiego i rzekł przyciszonym głosem:

- Przepraszam, milordzie, ale pewna młoda dama chciałaby mówić z panem.

- Młoda dama?

Hrabiemu przemknęło przez myśl, że lady Oline przyjechała tu za nim, ale szybko uświadomił sobie, że to niemożliwe. Zawsze mówiła, że nie znosi wsi, a ponadto, jakkolwiek bezwstydnie zachowywała się w Londynie, nie ryzykowałaby swojej reputacji i nie zdradzała w tak jawny sposób ze swoimi uczuciami.

- Jakie nazwisko podała, Newman? - spytał hrabia. - Powiedziała, milordzie, że pan jej nie zna, lecz musi się z panem zobaczyć w pewnej niezwykle ważnej sprawie. Hrabia zdziwił się. Po chwili spytał:

- A z jakiego to powodu jest tak tajemnicza?

- Nie wiem, milordzie.

- Powiedziałeś „młoda dama”. Czy to istotnie dama?

- Zdecydowanie tak, milordzie.

- Jak się tu dostała?

- Przyjechała konno, milordzie. Sama.

- Sama?

W głosie hrabiego zabrzmiała nuta zaskoczenia. Nie było przyjęte, aby młode damy - a Newman nie mylił się nigdy co

do czyjejś pozycji społecznej - jeździły konno same, bez towarzystwa choćby stajennego. Hrabia popatrzył na Charlesa, który wydawał się tak samo zdziwiony i zaintrygowany jak on sam. Po chwili rzekł:

- Myślę, że przyjechała, aby prosić o pieniądze na jakiś lokalny cel dobroczynny. A może chce mi sprzedać konia?

- Nie wydaje mi się, aby tak było, milordzie - rzekł Newman.

- Czy nie powiedziała nic poza tym?

- Nie, tylko że to bardzo ważne, żeby pomówić z panem.

- Wybieraliśmy się właśnie do koni - westchnął niechętnie hrabia.

- Mam wrażenie, że to nie zajmie dużo czasu - rzekł lord Charles - a byłoby szalenie denerwujące, gdybyśmy odesłali ją, nie dowiedziawszy się, o co chodzi, a potem gubili się w domysłach na ten temat przez cały dzień.

- Masz rację, Charles. Porozmawiam z nią w bibliotece, Newman.

- Już ją tam wprowadziłem, milordzie. Newman skierował się do drzwi, a hrabia z rozmysłem kończył brandy, zanim się podniósł.

- Jadąc tu miałem nadzieję, że nikt nam nie zakłóci spokoju - powiedział odstawiając pusty kieliszek.

- Pszczoły wokół dzbana miodu - zakpił Charles, wstając. Hrabia stuknął go żartobliwie w czoło i skierował się ku drzwiom.

- Lepiej chodź ze mną - powiedział. - Jeśli nawet ta dama nie potrzebuje przyzwoitki, to ja na pewno tak.

Lord Charles parsknął śmiechem i wolno poszedł za hrabią, który już był na korytarzu. Miał wrażenie, że jego przyjaciel pomimo pozorów niechęci był zadowolony, iż zdarzyło się coś, czego nie oczekiwał.

- Miejmy nadzieję - rzekł lord Charles do siebie - że cokolwiek ta pani nam powie, będzie to godne wysłuchania.

Rozdział 2

Lord Milborne siedział w fotelu z chorą nogą ułożoną na stołku i czytał gazetę, gdy usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Odwrócił się i patrzył wyczekująco. Słysząc było kroki z hallu, a po chwili do pokoju weszła jego córka. Jedno spojrzenie na zaszepiony wyraz jej twarzy powiedziało mu, że przynosi niedobre wiadomości.

- No więc? - spytał bez wstępów.

- Hewitt nie może pojechać, ojcze - rzekła Salrina. - Jest prawie unieruchomiony przez reumatyzm. Z trudem podniósł się, żeby mnie wpuścić do domu.

- Przekleństwo! - wykrzyknął lord Milborne. - To oznacza, że stracę trzysta gwinei.

- Och, chyba nie aż tyle, tatusiu - zdziwiła się Salrina.

Przebiegła przez pokój i uklękła koło fotela ojca.

- Czy rzeczywiście sprzedałeś Oriona za trzysta gwinei?

- Jest tego wart, co do pensa - powiedział mrukiwie lord Milborne - i jestem pewien, że Carstairs mając go wygrałby ten bieg na przełaj.

- Oczywiście, że tak. Ale wygląda na to, że nie uda się nam dostarczyć mu konia na czas.

- A czy może się udać - powiedział zgryźliwie lord Milborne - skoro ja tu jestem unieruchomiony przez tę przeklętą nogę, a Hewitt przez reumatyzm. A nikomu innemu nie powierzyłbym Oriona, jak sama wiesz.

- Z wyjątkiem mnie.

Ojciec odwrócił się i popatrzył na nią, jakby jej nigdy przedtem nie widział.

Była prześliczną dziewczyną o drobnej owalnej twarzy i wielkich błękitnych oczach. Miała mały, prosty arystokratyczny nos, a jej usta, choć nie wygięte w „łuk Kupidyna”, miały w sobie coś pociągającego - chochlikowatego. Często się śmiała, a wtedy w jej miękkich

policzkach pojawiały się dwa dołeczki. Lecz teraz, kiedy patrzyła na ojca, na jej twarzy gościł wyraz powagi.

- Wiesz, ojcze, że potrafię dać sobie radę z Orionem; zawsze mnie słucha. A ty nie możesz sobie pozwolić na stratę tyłu pieniędzy.

- To prawda - rzekł lord Milborne, jakby mówił do siebie.

- Ale też nie mogę pozwolić, żebyś jechała sama tak daleko.

- To nie więcej niż dziesięć mil na przełaj - rzekła Salrina.

- Jeśli wyjadę wcześniej, mogę wrócić przed zmrokiem lub tuż po zmroku.

- To niemożliwe! - powiedział jej ojciec stanowczo.

Salrina podniosła się i podeszła do okna. Patrzyła na

zaniedbany ogród, który bardzo zdziczał od czasu śmierci jej matki. Lady Milborne kochała kwiaty. Jej mąż hodował i ujeżdżał konie, które potem sprzedawał z zyskiem, ona zaś poświęcała cały swój czas, aby utrzymać dla niego wygodny dom i piękny ogród.

Wszyscy, którzy ich znali, nazywali ich idealną parą. Kiedy matka zmarła dwa lata temu w czasie ciężkiej zimy, gdyż nie stać ich było na dostateczne ogrzanie domu, tylko myśl o Salrinie przeszkodziła ojcu popełnić samobójstwo. Lord Milborne nie wyobrażał sobie życia bez ukochanej kobiety.

Choć Salrina próbowała zastąpić zmarłą matkę, doszła szybko do wniosku, że nie uda im się uniknąć niedostatku i wkrótce mogą popaść w długi.

Konie przynosiły wprawdzie sporo pieniędzy, bo ojciec potrafił doskonale je trenować, ale coraz częściej zdarzały im się niepowodzenia. Tym razem wydawało się, że wszystko sprzysięgło się przeciw nim.

Lord Milborne spadł z młodego nie ujeżdżonego konia próbując zmusić go do skoku przez przeszkodę. Nie złamał wprawdzie nogi, jednak mocno ją zwichnął i nie było żadnych

wątpliwości, że nie dosiądzie konia przed upływem dwóch tygodni.

Jedynym jego pomocnikiem był Hewitt, ongiś dżokej, obecnie masztalerz, który umiał świetnie chodzić koło koni, ale starzał się już i nawiedzały go ataki „reumatyków”, jak mówił. Ataki te sprawiały mu nie tylko wiele bólu, ale również nie pozwalały chodzić, nie mówiąc już o konnej jeździe.

Oznaczało to, że chwilowo Salrina była zmuszona zajmować się końmi, karmić je, jeździć na nich, a nawet trenować w miarę swoich możliwości, choć ojciec kategorycznie zabronił jej zbliżać się do tych, które nie były jeszcze ujeżdżone.

Na domiar złego niedawno znowu musieli się zadłużyć, Salrina więc była świadoma faktu, że owe trzysta gwinei byłyby dla nich prawdziwym ratunkiem zesłanym z nieba. Taka suma pozwoliłaby im wydobyć się z kłopotów, a nawet zażyć pewnych drobnych luksusów.

- Absolutnie wykluczone, żebyś tam pojechała - powtórzył lord Milborne, jakby czytał w jej myślach.

- Ojczy, Tavis oznajmił, że nie dostarczy nam więcej mięsa, dopóki nie uregulujemy rachunku, i to samo powiedział Higgs, kiedy przywiózł wczoraj paszę dla koni.

- A niech to! Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? - spytał z gniewem lord Milborne.

- Ponieważ wiedziałam, że to cię zdenerwuje, tato. Wydawało mi się także, że damy sobie jakoś radę do chwili, kiedy powrócisz do zdrowia.

Lord Milborne milczał. Wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że jeśli konie nie są należycie karmione, wolniej osiągają wysoką formę. Brak odpowiedniej paszy może spowodować, że sprzeda je z opóźnieniem.

Oboje przez chwilę milczeli. Potem Salrina odwróciła się od okna i powiedziała:

- Wyjadę jutro rano o szóstej, tatusiu. Pojadę na Orionie, a Jupitera poprowadzę luzem, na wodzy. Gdyby nawet Orion się płoszył, wiem, że mogę polegać na Jupiterze: pójdzie za mną, nawet gdybym go nie prowadziła.

Lord Milborne wiedział, że mówiła prawdę. Jupiter był własnością Salriny, ukochanym jej koniem, którego wychowała od źrebięcia.

To właśnie Salrina nadawała imiona wszystkim koniom, które przychodziły na świat w chylących się ku ruinie stajniach niedaleko ich dworu. Lubiła mitologię, więc zawsze obdarzała je imionami bogów i bogiń, tak że ci, którzy najczęściej załatwiali interesy z lordem Milborne'em, śmiali się czasem i pytali:

- Czy nie ma pan dla mnie czegoś specjalnie boskiego, Milborne? Chciałbym konia tak szybkiego jak Merkury, jeśli to możliwe.

Lord Milborne był jeszcze dość młodym człowiekiem. Będąc na studiach w Oksfordzie, wbrew woli rodziny porzucił je, uciekł i ożenił się z młodą i piękną dziewczyną, która uprzednio była zaręczona z bogatym i bardzo wpływowym baronetem.

Rodzice panny, tak samo zresztą jak i jego, szaleli ze złości, ale na nic zdały się protesty, gdy młoda para powróciła z Gretna Green (Miejscowość pograniczna w Szkocji, gdzie bez trudności udzielano ślubów młodym parom z Anglii (przyp. tłum.) już po ślubie. Po pięciu latach upartego milczenia między rodzinami stopniowo pogodzone się z tą sytuacją i zaakceptowano ją, choć bez entuzjazmu. W efekcie lord Milborne odziedziczył niewiele poza tytułem, bo jego ojciec zostawił większość pieniędzy młodszemu synowi. Nie była to zresztą wielka suma. Jego żona, matka Salriny, po

śmierci swego ojca otrzymała tylko kapitał, z którego procentów wypłacano jej pensję w wysokości około pięćdziesięciu funtów rocznie. Tak więc rodzice Salriny musieli liczyć się z każdym groszem. Mimo to byli ze sobą bardzo szczęśliwi i nigdy nie żalowali swojej decyzji, chociaż wszyscy nazywali tę ucieczkę i ich małżeństwo czynem lekkomyślnym i nieodpowiedzialnym.

Salrina urodziła się w dziesięć miesięcy po ich ślubie w Gretna Green. Choć jej ojciec żałował, że Bóg nie dał mu także syna, ona sama uważała za łaskę Opatrzności, iż była jedynym dzieckiem swoich rodziców. Edukacja, jaką zdobyła przy pomocy matki i książek, jej, kobiecie, wystarczała, ale syna trzeba by było wysłać do dobrej prywatnej szkoły lub nawet na uniwersytet, a rodzice nie mogliby sobie na to pozwolić.

- Nie życzę sobie, żebyś gdziekolwiek jeździła sama, czy to dziesięć mil, czy sto od domu - rzekł jej ojciec, jakby wiedział, o czym myśli córka. - Po pierwsze, jesteś za młoda i za ładna, a po drugie, to nie przystoi młodym damom.

Salrina roześmiała się.

- To bez sensu, tatusiu, żebyś rozmawiał ze mną jak ze światową młodą panną, która nie ma nic do roboty prócz haftów lub malowania akwarelek w ogrodzie, gdy jej przyjdzie na to ochota. Na mnie czeka sześć koni, które trzeba nakarmić, a że Hewitt nie może wywieźć nawozu ze stajni, nawet to muszę zrobić. Biedny Len sam sobie nie da rady.

Len był niedorozwiniętym wiejskim chłopakiem, który lubił kręcić się koło koni, za co dostawał parę pensów tygodniowo. Ponieważ nie miał w domu opieki i często bywał głodny, Salrina karmiła go, a on cenił to sobie bardziej niż pieniądze i czuł się szczęśliwy, przebywając w dworskich stajniach.

- Nie wiem, doprawdy, co by na to powiedziała twoja matka - zamruczał lord Milborne.

Salrina czuła, jak opór ojca słabnie, bo przecież podobnie jak ona zdawał sobie sprawę, że nie mogą sobie pozwolić na stratę owych trzystu gwinei.

- Ale nie zgadzam się, żebyś wracała po ciemku - ciągnął lord Milborne.

Nagle Salrina wydała okrzyk radości:

- Wiem już, co zrobię, tato! Coś, co będzie o wiele rozsądniejsze niż powrót o zmroku!

- W tej sprawie nie ma nic rozsądnego - mruknął niechętnie ojciec - ale mów.

- Przyjadę do pana Carstairsa po południu, a potem pójde przemocować do naszej starej Mabel, która mieszka w Little Widicot. Wiem, że ucieszy się z mojej wizyty. Dopiero następnego ranka wyruszę do domu, więc nie będziesz musiał się o mnie martwić.

- Będę się martwił w każdym przypadku - rzekł lord Milborne gniewnie. - Dlaczego ze mnie taki przeklęty stary połamaniec właśnie w tej chwili, Bóg jeden wie!

Salrina popatrzyła na niego ze współczuciem. Ojciec rzadko używał ostrych słów w jej obecności, lecz widać świadomość własnej bezsilności wyprowadziła go z równowagi. A poza tym przecież niepokoił się o córkę, która oto wybierała się w drogę sama i nawet jeśli nie była to daleka droga, drżał o nią.

Salrina nie była ani głupia, ani tak naiwna, żeby nie wiedzieć, iż podobnie jak jej piękna matka przyciągała uwagę mężczyzn. Jednak do tej pory stanowiła obiekt podziwu tylko młodych farmerów z sąsiedztwa i chłopców z chóru kościelnego. Zdarzało się też, że gdy klienci ojca przyjeżdżali do dworu, prawili jej komplementy, a odjeżdżając mówili ojcu, tak żeby słyszała:

- Milborne, kiedy pana córka dorośnie, musi ją pan zabrać do Londynu. Przepowiadam, że zrobi się szum, gdy się pokaże w pałacu St James.

Lord Milborne albo się śmiał, albo nie słuchał.

Niemniej jednak, odkąd w tym roku skończyła osiemnaście lat, zauważyła, że gdy ojciec spodziewał się wizyty jakiegoś dżentelmena z beau monde'u, rozkazywał jej nie pokazywać się albo wysyłał ją do wsi z jakimś poleceniem.

Jeśli któryś z gości zostawał na obiad, Salrina musiała pomagać niani przygotowywać posiłek w kuchni. Poza nimi dwiema nikt nie zajmował się domem, nie było żadnej służby. Niania miała prawie siedemdziesiąt lat i służyła jeszcze w domu dziadków Salriny, gdy jej matka była małą dziewczynką. Przeniosła się tutaj, aby się zajmować maleństwem, gdy przyszło na świat.

Ona też była wstrząśnięta dowiedziawszy się, że panienska ma jechać konno bez towarzystwa i sprzeciwiała się temu o wiele bardziej stanowczo niż ojciec. Ale i ona dobrze wiedziała, że jeśli wkrótce nie zdobędą jakichś pieniędzy, staną po prostu przed groźbą głodu. Tymczasem choć konie do szkolenia były tanie, lord Milborne nieodmiennie wydawał z góry ten niewielki dochód, który przynosiła mu ich sprzedaż po wyszkoleniu.

Bank zaś wyznaczył granicę przekroczenia jego konta w punkcie zwanym „zadłużenie ciągłe”. Lord Milborne wiedział, że gdyby umarł, wszystko to zaciąży nad Salriną jak kamień młyński.

- Trzysta gwinei - powiedziała głośno Salrina, a potem powtarzała sobie te słowa w duchu, podczas gdy niania narzekała bez końca, że wyprawa młodej panny tak daleko bez żadnej opieki jest po prostu nie do pomyślenia.

- Najlepiej będzie, nianiu, jeśli ty sama ze mną pojedziesz
- zniecierpliwiła się w końcu Salrina.

- Nie pora na żarty, Salrino - powiedziała ostro niania. -
Wiem, co wypada, a co nie, i wiem, co twoja matka
uważałaby za słuszne. Jesteś damą, a nie jakimś wiejskim
wyrostkiem czy chłopakiem stajennym.

- W tej chwili nie widzę żadnej różnicy - odparła Salrina -
a ty wiesz lepiej ode mnie, że musimy zdobyć te trzysta
gwinei. Jeśli pan Carstairs nie będzie miał Oriona przed
biegiem na przełaj, to w ogóle go nie kupi.

Niania zacisnęła usta jakby próbując znaleźć jakieś
wyjście z sytuacji, ale najwyraźniej go nie znalazła, a Salrina,
aby sobie oszczędzić dalszych sprzeczek z nią i ojcem, poszła
do stajni jeszcze raz wyszczotkować Oriona.

Był to piękny gniadosz, zdaniem Salriny wart tych trzystu
gwinei, które ojciec miał za niego dostać. Kwota ta
przewyższała znacznie zwykłe ceny koni, lecz pan Carstairs,
butny i arogancki młody człowiek, według niani „pchający się
w górę”, postanowił zwyciężyć w biegu na przełaj wszystkich
„ważniaków”, którzy tylko dlatego zaprosili go do udziału w
wyścigach, że odbywały się one częściowo na jego gruntach.

Doroczne biegi na przełaj z przeszkodami były zwykle
lokalnymi rozrywkami, lecz czasami urządzano je również dla
przyjemności młodych dandysów z londyńskiego
towarzystwa. Ci przyjeżdżali wówczas na wieś do domów
swoich krewnych lub przyjaciół i wymyślali rozmaite zabawy
i gry, aby jak najmilej spędzić czas. Salrina słyszała nieraz, jak
wspominano te nie zawsze niewinne rozrywki, w których
brały udział również piękne kobiety. Bywało, że po kolacjach
panom przychodziło do głowy urządzać wyścigi przy
księżycu, a że mieli trochę w czubie, spadali często przy
pierwszej przeszkodzie i odnosili obrażenia cielesne.

Słuchając tych historii Salrina oburzała się, ale potem mówiła sobie, że opowiadający z pewnością przesadzali. Na wsi brakowało po prostu tematów do plotek, a taka opowiastka, podawana z ust do ust, była już zupełnie inną historią, kiedy docierała do niej lub do jej ojca.

Salrina nie lubiła pana Carstairsa i uważała go trochę za gbura, wiedziała jednak, że był dobrym jeźdźcem, a w jego stajniach bardzo dbano o konie.

- Tato, nie wolno ci nigdy sprzedać konia nikomu, kto nie obchodzi się z nimi delikatnie - upominała kiedyś ojca. - Ponieważ ty nie jesteś okrutny, one nie rozumieją innego niż łagodne traktowania, a ja nie zniósłabym myśli, że któryś z nich jest nieszczęśliwy.

- Rozumiem cię doskonale, moja najdroższa - odpowiedział lord Milborne. - Prawdę mówiąc, gdybym był bogaty, nie sprzedałbym żadnego ze swoich koni.

Zamyślił się na moment, a potem mówił dalej:

- Kiedy człowiek jeździ na koniu, nawet przez krótki czas, staje się on częścią jego samego, a ja kocham moje konie, jakby były moimi dziećmi.

Salrina rozumiała go. Zarzuciła mu ręce na szyję i powiedziała:

- Kocham cię, tatusiu, i jestem pewna, że nie ma drugiego takiego dobrego i wspaniałego człowieka jak ty. Modlę się każdego wieczora, żebyś jakimś cudem został milionerem.

Jej ojciec żartował sobie z niej.

- To takie prawdopodobne, jak to, że będę miał kiedyś stajnie wyścigowe albo przeskoczę przez księżyc.

Śmiali się razem, a potem, kiedy obserwowała, jak ojciec cierpliwie i z wielką dobrocią szkoli swoje konie wiedząc, że są płochliwe i nie od razu rozumieją, czego się od nich wymaga, doszła do przekonania, że nie potrafiłaby tolerować

obok siebie człowieka, który nie rozumiałby zwierząt, a zwłaszcza koni.

Nazajutrz rankiem Salrina jeszcze raz wyczesła Oriona i wróciła do domu, gdzie ojciec kończył właśnie śniadanie. Z trudnością sam się ubrał, a ponieważ w nocy spał niespokojnie, noga znów mu dokuczała. Popatrzył na córkę wchodzącą do pokoju i pomyślał, jak bardzo przypomina swoją matkę. Była śliczna w ten sam zniewalający sposób, jaki kiedyś wywołał w nim miłość od pierwszego wejrzenia do jej matki, a zarazem postanowienie, że nikt i nic nie zdoła mu przeszkodzić, aby została jego żoną. Musieli być sobie przeznaczeni przez los lub raczej łaskawą opatrność, bo Elizabeth Layton czuła to samo do niego. Od chwili, gdy ujrzała jego piękną męską twarz, wiedziała, że żaden inny mężczyzna na świecie nie ma szans, aby ją zdobyć.

- Gdyby sam książę Walii ukląkł przede mną - powiedziała Gavinowi Borne'owi - nie zawahałabym się nawet przez moment, jeśli ty też mnie chcesz.

- Jeśli cię chcę? - powtórzył. - Jesteś moja, Elizabeth, moja całkowicie i na zawsze! I przysięgam, że nigdy nie będziesz należeć do żadnego innego mężczyzny.

Pocałował ją namiętnie, a tydzień później uciekli razem do Szkocji. Odbyli długą, męczącą i bardzo trudną podróż, zanim dotarli do Gretna Green. Ale cieszyli się każdą chwilą, a kiedy zostali małżeństwem, Elizabeth Borne znalazła się w specjalnym, własnym niebie, gdzie nic nie było ważne, oprócz jej męża, a gdy po jakimś czasie Salrina przyszła na świat - również jej córki.

- Czy naprawdę nie żałowałaś nigdy, mamusiu, że zrezygnowałaś dla ojca z balów i tych wszystkich wygod, w jakich żyłaś przedtem? - spytała raz Salrina.

Jej matka zaśmiała się srebrzyście.

- Jak możesz zadawać tak niemądre pytania? - powiedziała. - Ja mam wszystko, wszystko, czego kobieta może żądać: najprzystojniejszego, najukochańszego męża na świecie oraz uroczą, słodką córeczkę! Och, Salrino, jaka ja jestem szczęśliwa!

Mówiła z taką szczerością, że Salrinie napłynęły do oczu łzy. Zrozumiała wtedy, ile prawdy było w słowach, które tyle razy słyszała od matki, gdy dorastała: że jedyną ważną rzeczą w życiu jest miłość. Wszystko inne nie ma znaczenia.

Po śmierci matki niania często zrędziła i mówiła szczerze, jak to było w jej zwyczaju:

- Nie wiem, co się z tobą stanie, naprawdę nie mam pojęcia,

- O co ci chodzi, nianiu? - dopytywała Salrina.

- Żyjesz z dala od ludzi, nie widzisz ich, nie masz szans nikogo spotkać. Dorastasz, Salrino, i chciałabym wiedzieć, jakim sposobem znajdziesz sobie męża?

- Na razie nie chcę męża w ogóle. Bardzo mi dobrze z ojcem.

- Wy dwoje myślicie tylko o koniach - gderała niania z niechęcią. - To może jest dobre dla twojego ojca, ale ty zechcesz wyjść za mąż za rok czy dwa, a za konia nie wyjdiesz!

Salrina śmiała się i drażniła nianię mówiąc, że chętniej by wyszła za Jupitera niż za mężczyznę, którego kiedykolwiek widziała albo znała ze słyszenia.

Ale czasem w nocy, gdy nie mogła spać, zastanawiała się, czy coś ją w życiu czeka poza trenowaniem koni, które z chwilą, gdy je pokocha, pójdą na sprzedaż. A potem znów, tak jak jej ojciec, będzie musiała zaczynać od nowa, szkolić następnego konia. Próbowwała wprawdzie nie przywiązywać się do nich za bardzo, bo czuła się nieszczęśliwa, gdy je zabierano, ale nie mogła się oprzeć uczuciu miłości do tych

zwierząt. Gdy ocierały się o nią gładkimi nosami, zdawało się jej, że jest dla nich kimś specjalnym i ogarniało ją uczucie wewnętrznego ciepła.

- Może tak samo jest, gdy się kocha mężczyznę? - mówiła sobie.

Ponieważ nie miała nikogo, z kim mogłaby o tym porozmawiać, starała się po prostu rozweselać swego ojca, zdając sobie sprawę, że tak jak ona, po śmierci matki czuje się rozpaczliwie samotny.

Teraz, gdy lord Milborne patrzył na swoją córkę, w jego oczach pojawił się wyraz bólu, bo w kostiumie do konnej jazdy, trochę już znoszonym, gdyż należał kiedyś do jego żony, bardzo ją przypominała. Włożyła nawet jej kapelusz o wysokiej główce otoczonej błękitnym welonikiem, który powiewał w powietrzu, gdy wchodziła do pokoju. Ubrana była w białą bluzkę i żakiecik, a spod spódnicy wystawał rąbek sztywno ukrochmalonej białej koronki od hałeczki. W tym stroju wyglądała bardziej elegancko niż w swojej codziennej sukni. Wydawała się też starsza. Salrina dostrzegła wyraz zaniepokojenia na twarzy ojca i zanim się odezwał, odgadła, że znów będzie robił trudności.

- Jestem gotowa, tato - powiedziała - i zanim zaczniesz znowu mówić, że jednak nie powinnam jechać, pozwól mi coś powiedzieć: otóż obiecuję ci, że nie pozostanę w domu pana Carstairsa ani minuty dłużej niż to konieczne. Natychmiast gdy przekażę mu Oriona i, mam nadzieję, gdy otrzymam czek, pojedę do domu naszej Mabel, nie rozmawiając z nikim po drodze.

Mabel była starą kobietą, która przez wiele lat prowadziła sklep we wsi. Uwielbiała lady Milborne, a jednym z najwcześniejszych wspomnień Salriny były lizaki, jakie dostawała od Mabel, bo tak ją powszechnie we wsi nazywano, nie z nazwiska. Prowadziła sklep aż do chwili, gdy przejął go

jej syn, a ona przeniosła się do małego domku w Little Widicot, małej wioski na gruntach hrabiego Fleetwooda, u którego syn przedtem pracował.

- Wieś nie będzie już ta sama bez Mabel - mówiła wtedy lady Milborne, a potem, kiedy miała wolną chwilę, jeździła konno odwiedzić Mabel w jej domku, a Salrina towarzyszyła jej na swym kucyku.

- Mabel nie tylko ucieszy się, że przyjechałam, tatusiu - ciągnęła Salrina, zanim ojciec zdążył wtrącić słowo - ale zasypie mnie pytaniami o ciebie i na pewno bardzo się zmartwi na wieść, że masz zwichniętą nogę.

- Nie zmartwi się tym ani w połowie tak bardzo jak ja - odparł lord Milborne. - Ale słuchaj, Salrino, myślałem jeszcze o twojej podróży.

Salrina czekała: nie miała żadnych nowych argumentów, żeby go przekonać, iż nic jej nie grozi. Ale ojciec ją zaskoczył.

- Zdajesz sobie sprawę, że robisz coś, czego nie powinnaś - rzekł - więc jeśli ktoś zapyta cię o nazwisko, nie mów, kim jesteś.

Salrina otworzyła szeroko oczy.

- Ale dlaczego, ojczy? - spytała.

- Ponieważ zaszkodziłoby twojej reputacji, gdyby w naszej okolicy, bliżej lub dalej, rozeszła się wieść, że widziano cię, jak jechałaś konno bez stajennego czy jakiegóż innej eskorty.

- Rozumiem - zgodziła się Salrina. - Bardzo łatwo mi przyjdzie w razie czego podać inne nazwisko niż Milborne. Może jakieś przychodzi ci do głowy?

- Wymień, jakie chcesz - odparł ojciec z irytacją - ale nie życzę sobie, aby o tobie plotkowano, rozumiesz?

Salrina pomyślała, że ludzie, których zdanie może mieć jakieś znaczenie, raczej się tą sprawą nie zainteresują lub nie

będą nawet podejrzewać, że jest ona córką lorda. Orientowała się, że gdyby ich było stać na związane z tym wydatki, już dawno byłaby przedstawiona królowi i królowej w pałacu Buckingham, a jako młoda dama wchodząca w świat byłaby zapraszana na bale, przyjęcia i inne towarzyskie spotkania.

W dodatku tak się złożyło, że w sąsiedztwie było niewiele dużych domów szlacheckich, a i te zamieszkiwały starsze osoby, rzadko wydające przyjęcia i nie utrzymujące stosunków ze zubożałym domem lorda Milborne.

Pewnego razu na krótko przed swoją śmiercią matka Salriny powiedziała:

- Chciałabym, abyśmy mieli w rodzinie choć jedną bogatą osobę, która mogłaby cię zaprosić do Londynu lub wydać dla ciebie bal w swoim majątku.

- A gdzie są nasi krewni? - spytała wtedy Salrina.

- Sama czasami zadaję sobie to pytanie - odparła lady Milborne. - Brat twojego ojca, najbogatszy w rodzinie, jest wojskowym i walczy w tej chwili w armii Wellingtona. - Zawahała się i dodała prędko: - Ale nie mów o nim przy ojcu, bo jego denerwuje, że sam nie może walczyć, choć tego pragnie.

- Dlaczego nie może? - spytała Salrina.

- Ponieważ - tłumaczyła jej matka - musiałby zostawić nas tutaj bez środków do życia. A ja właściwie jestem rada, że nie stać nas na to, aby pojechał i mnie opuścił.

Głos jej zadrzał i łzy pokazały się w oczach, a Salrina zrozumiała, jak bardzo jej matka bała się, że ojciec uprze się i wstąpi do armii. Zrozumiała również, że matka, choć zadowolona ze swego losu, dla córki pragnęła czegoś więcej. Pojęła teraz jednak troskę ojca i rzekła:

- Nie martw się, tatusiu. Zapomnę na jakiś czas, że jestem „jaśnie wielmożna”, i jeśli mnie ktoś zapyta o nazwisko, powiem, że nazywam się Milton. To nazwisko podobne do

naszego, a zapamiętam je łatwo, bo dopiero co przeczytałam Miliona Raj odzyskany.

Ojciec roześmiał się:

- Może to ten, który my odzyskamy, jeśli bezpiecznie wrócisz z trzystoma gwineami.

- Otóż to, tatusiu. Urządzimy sobie ucztę pierwszego wieczora, gdy tylko je przywiozę. I zapłacimy długi Tavisowi. Gdy będę przekazywała konia Carstairsowi, zastanów się, czym cię uraczyć: befsztykiem, udźcem baraniną czy cielęcina.

- Pomyślę o tym, gdy już wyjedziesz - uśmiechnął się ojciec.

- Dbaj o siebie, tatusiu najdroższy - przykazywała mu Salrina - i nie przemęczaj nogi, bo leczenie będzie trwało dłużej, jeśli ją zaniedbasz.

- Tyranizujesz mnie jak zawsze. Ale będzie mi ciebie brakowało, więc wracaj szybko.

Trzymał ją w uścisku przez chwilę, mówiąc:

- Przysięgnij, że będziesz ostrożna. W głębi serca wiem, że nie powinienem ci pozwolić jechać.

- Nie martw się o mnie, proszę cię. A jeśli się znajdę w kłopotach, wierzę, że mama mi pomoże.

Na te słowa twarz ojca zmieniła się i pojawił się na niej wyraz czułości. Salrina wybiegła z pokoju, machając ręką na pożegnanie i udała się do stajen.

Orion czekał w boksie, a Len z bezmyślną jak zwykle twarzą trzymał Jupitera na wodzach. Koń skubał drobne kwiatki spomiędzy kamieni, ale podniósł głowę, gdy usłyszał kroki Salriny, i ruszył w jej kierunku. Zatrzymała się i poklepała go po szyi mówiąc:

- Pojedziesz ze mną, ale musisz być bardzo posłuszny i pomagać mi.

Wydawało się, że ją zrozumiał, bo często przemawiała do niego. Sprawdziła, czy wszystkie rzeczy, które będą jej

potrzebne na noc, są dobrze przypasane do siodła. Strzemiona były podciągnięte do góry, bo miała dosiąść Jupitera dopiero w powrotnej drodze. Chyba wszystko było w porządku. Mogła teraz wejść do stajni i wyprowadzić Oriona.

Był trochę niespokojny, cofał się i rzucał łbem, jakby chciał pokazać swoją niezależność. Weszła na ławeczkę do wsiadania i przytrzymując konia usadowiła się w siodle. Ułożyła fałdy amazonki i biorąc od Lena wodze Jupitera, upominała go:

- Do widzenia, Len. Pamiętaj, żebyś karmił konie tak, jak ci pokazywałam. Sprawdź, czy mają dosyć wody, zanim pójdziesz na noc do domu.

- Dobrze, panno Salrino - odpowiedział powoli, jękając się.

Salrina ruszyła zarośniętą zielskiem aleją prowadzącą do dworu z poczuciem, że oto zaczyna się jakaś przygoda. Pierwszy raz wyruszała samodzielnie z domu, w dodatku obciążona świadomością, że w razie czego musi zapanować nad Orionem. Za bramą dworską rozciągała się wieś. Wszyscy ją tu znali: kobiety uśmiechały się do niej i dygały, a mężczyźni dotykali ręką czapek, gdy ich mijała. Domyślali się, że prowadzi konia na sprzedaż, bo chory ojciec nie może tego zrobić sam. Po południu na pewno starsze kobiety odwiedzą nianię, żeby o tym porozmawiać.

Wszyscy są nam bardzo życzliwi - myślała Salrina. Wiedziała, że to rezultat pełnego zrozumienia i życzliwości postępowania jej rodziców wobec wieśniaków.

Po śmierci matki Salrina przez wiele tygodni znajdowała na jej grobie bukietki świeżych kwiatów, a przed Bożym Narodzeniem wiązańki z jedliny i jemioly. Pochodziły od ludzi ze wsi, którzy kochali ją tak, jak ona ich kochała.

Orion spłoszył się na widok owiec pasących się "przy drodze. Salrina postanowiła zwracać na niego baczniejszą uwagę i oderwała myśli od zmarłej matki.

Droga do domu pana Carstairsa, chociaż dobrze jej znana, okazała się trudniejsza do przebycia, niż sądziła. Jadąc na przełaj natrafiała na zamknięte bramy ogrodzeń, a nie chciała zsiadać z konia, bo musiałaby wtedy puścić luzem Jupitera. Z tego samego powodu nie mogła skakać przez żywopłoty. Zdecydowała się więc na okrażanie przeszkód, co jednak znacznie wydłużało drogę.

A potem nagle zaszło słońce, zachmurzyło się i zaczęło grzmieć. Przy pierwszym grzmocie Orion zastrzygł uszami, a Salrina wyczuła, że jest niespokojny i zdenerwowany. Wiedziała, że większość zwierząt boi się burzy, choć z Jupiterem nigdy nie miała kłopotów. Byłoby niedobrze, gdyby Orion zaczął ponosić albo odmówił pójścia do przodu, jak to się czasem zdarzało innym koniom jej ojca, które w czasie burzy zatrzymywały się w miejscu i nie dawały się ruszyć spod drzewa ani nie chciały jeść, przerażone błyskawicami i grzmotem.

Burza zbliżała się, Orion stawał dęba przy każdym uderzeniu pioruna i z trudnością dawał się nakłaniać do dalszej drogi.

W pewnej chwili niebo jeszcze bardziej pociemniało, a Salrina zajęta końmi zgubiła drogę. Było oczywiste, że za chwilę rozpocznie się ulewa. Pięć minut później nadeszła, i to z taką siłą, że dziewczyna postanowiła szukać jakiegoś schronienia. Zmusiła Oriona do zawrócenia, aby deszcz nie siekł prosto w jej twarz, i po chwili zobaczyła z ulgą w pewnej odległości od pola, na którym się znajdowała, zajazd pocztowy. Niewielki to zajazd, ale powinny tam być stajnie, pomyślała. Ojciec z pewnością pochwaliłby ją za przeczekanie

burzy pod dachem, a w okolicy nie spostrzegła żadnej stodoły ani szopy.

Z największą trudnością panując nad opierającym się Orionem, wjechała na podwórze zajazdu. Pusto. Nie zauważyła nikogo, tylko zajazd po jednej stronie, a stajnie należące do niego po drugiej. Ponieważ Orion znów zaczął stawać dęba, protestując przeciwko szalejącym żywiołom, puściła wolno Jupitera i wprowadziła Oriona do stajni przez najbliższe drzwi. W boksie naprzeciw stał uwiązany koń, ale na lewo od wejścia z radością zauważyła dwa puste boksy. Nie było śladu stajennych, więc szybko zamknęła Oriona w pustym boksie i pobiegła po Jupitera, który cierpliwie czekał na nią na deszczu.

- Jesteś bardzo dobrym stworzeniem - przemawiała do niego, wprowadzając go do następnego boksu.

Widać było, że deszcz nie skończy się szybko, bo chwilami lało tak, jakby niebiosy się otworzyły. Salrina zdjęła Jupiterowi uzdę, przekonała się, że ma trochę siana w żłobie oraz wodę w wiadrze, i poklepała go po szyi na znak, iż jest z niego zadowolona. Potem poszła do Oriona. Ten boks był większy i wyścielony świeżą słomą. Ucieszyło ją to, bo zajazdy były często dość brudne, a nie chciała, aby koń, pomimo jej starannej opieki, dotarł do pana Carstairsa w formie nie odpowiadającej wysokiej cenie, jakiej za niego żądano. Zdjęła Orionowi uzdę, powiesiła ją na ścianie i podeszła do drzwi, zastanawiając się, czy nie należy teraz pójść do izby zajazdu, aby ujawnić swoją obecność jego gospodarzowi.

Wtedy zauważyła na środku podwórza faeton. Był to modny powóz na wysokich kołach. Rozejrzała się uważniej po stajni. Jeszcze jeden koń stał za boksem tego pierwszego. Oba były doskonale utrzymane i najpewniej należały do jakiegoś szlachcica, który, tak jak ona, schronił się tu przed burzą.

Złękła się, że gdy wejdzie do izby, aby powiadomić właściciela zajazdu, iż skorzystała z jego stajni, zwróci na siebie uwagę tego dżentelmena, a przed tym właśnie ojciec ją wyraźnie przestrzegał, i uważał, że to może być dla niej niebezpieczne.

Przez chwilę zastanawiała się. Najlepiej będzie pozostać tu, aż deszcz przestanie padać, pomyślała. Jeżeli nie odkryją jej obecności, odjedzie i nikt nie będzie wiedział, że się tu w ogóle schroniła. To najprostsze wyjście. Zaczęła się rozglądać, na czym by usiąść w oczekiwaniu na koniec burzy. Nic nie znalazła, a nie wypadało jej siadać na podłodze. Poszła więc z powrotem do boksu Oriona i usiadłszy na stercie słomy, oparła się o przegrodę i rozłożyła żakiet obok, aby wysechł. Brakowało jej w tej chwili tylko filiżanki gorącej herbaty. Niania dała jej kanapkę na drogę, ale nie czuła głodu. Była tylko spragniona; zastanawiała się przez chwilę, czy nie napić się z wiadra stojącego w boksie, ale po chwili namysłu porzuciła tę myśl. Dość wygodnie siedziało się jej na świeżej słomie; słychać było tylko szum deszczu i odgłosy poruszania się koni w boksach. Nie wiedziała, kiedy usnęła.

Obudziła się na dźwięk męskiego głosu. Ktoś mówił:

- No, dzięki Bogu ten przekłety deszcz przestał padać. Będzie pan mógł jechać dalej. Ale, na miłość boską, niech pan nie położy sprawy!

- Może pan być spokojny, monsieur. Proszę mi wierzyć, jestem w tych sprawach doświadczony.

Salrina słyszała te głosy zrazu jak przez mgłę, jakby jej się coś śniło. A potem ocknęła się nagle, bo zdała sobie sprawę, że człowiek, który właśnie powiedział te słowa, miał francuski akcent.

Rozdział 3

Słuchała dalej w napięciu. Anglik zaśmiał się cicho, a potem powiedział:

- Rozśmieszył mnie sposób, w jaki pan o tym mówi.

- Zapewniam pana, monsieur, że cesarz jest ze mnie zadowolony, a ja jeszcze nigdy nie zawiodłem przy wykonywaniu powierzonego mi zadania - odparł Francuz obrażonym tonem.

- To właśnie o panu słyszałem - powiedział Anglik - ale to zadanie jest takie ważne, że nie możemy ryzykować porażki.

- Nie będzie żadnej porażki, monsieur.

- A więc dobrze. Jak tylko przestanie padać, proszę ruszać do Londynu. Ma pan adres, a zaproszenie będzie tam na pana czekało. Proszę o tym nie zapomnieć, bo bez zaproszenia nie dostanie się pan do pałacu Carlton.

- Rozumiem, monsieur.

- I niech pan też nie zapomina - powiedział Anglik dyktatorskim tonem - że pretekstem, pod jakim pan się zwraca do księcia, jest wręczenie mu prezentu od markiza St Cloud, który na nieszczęście będzie zbyt chory, aby móc przybyć osobiście.

- Czy jest pan pewien, że markiz się nie pojawi? Gdyby tak się stało, byłaby to katastrofa.

- Wiem, wiem - odparł Anglik poirytowanym głosem. - Wszystko zostało już uzgodnione. Markiz, zapewniam pana, będzie tego wieczora zbyt chory, żeby brać udział w jakimkolwiek przyjęciu, a tym bardziej w tym, na które pan się wybiera.

Anglik musiał wyrzeć przez drzwi, bo powiedział innym tonem:

- Praktycznie jest już po burzy. Niech pan wyprowadza konie. Im szybciej pan odjedzie, tym lepiej. Niedobrze się

złożyło, że w zajeździe byli inni podróżni, czego nie oczekiwałem, ale to ludzie bez znaczenia, a ponieważ nie rozmawialiśmy przy nich, nie będą pana pamiętać.

- Mam niepłonną nadzieję, monsieur.

Francuz widocznie zajrzał do boks obok Oriona, bo nagle wykrzyknął:

- Tiens! Tu nie było żadnych innych koni, kiedy przyjechałem.

Salrina instynktownie, jakby ją ktoś ostrzegł, że to podsłuchiwanie może być dla niej niebezpieczne, wcisnęła się głębiej w słomę udając, że śpi. Wprawdzie miała zamknięte oczy, ale czuła, że dwaj mężczyźni podeszli do boks Oriona i zaglądnęli przez szpary.

Po chwili Francuz szepnął:

- Une femme! Myśli pan, że słyszała naszą rozmowę? Nastąpiła chwila ciszy, jakby Anglik rozważał sytuację.

- Nie. Jak pan widzi, śpi twardo. Ale musimy być bardziej ostrożni. Zauważyłem jedynie pański powóz na podwórzu, więc nie podejrzewałem, iż ktoś może być w stajni.

- Mais - pan jest pewny, że elle dort? (Ale, czy pan jest pewny, że ona śpi?) - spytał Francuz. Widocznie się zdenerwował, bo mówił z wyraźniejszym akcentem i wtrącał więcej słów francuskich niż przedtem.

- Ona śpi - rzekł Anglik z naciskiem. - Przyślę mojego stangreta, żeby pomógł stajennemu, jeśli go w ogóle znajdzie, zaprząć pańskie konie do faetonu. A potem odjadę przed panem. Nie chcę, żeby nas razem widziano.

- Non, non. Oczywiście, że nie, monsieur.

Anglik skierował się ku drzwiom, ale zanim do nich doszedł, Francuz wykrzyknął z pośpiechem:

- Ale, milordzie, jeszcze mi się coś należy!

- Co takiego?

- Pieniądze!

- Dobry Boże, byłbym zapomniał. Oczywiście, mam je ze sobą. Już daję.

Anglik cofnął się, jakby chcąc tego dokonać w ukryciu, po czym weszli obaj do boksu obok Salriny. Nie otwierała oczu, mimo że nie mogli jej widzieć. Bardzo wolno, żeby nie zaszeleścić słomą, odwróciła się i spojrzała przez szparę w ścianie między boksami. W tamtym było jaśniej, bo światło padało przez otwarte naprzeciwko drzwi, więc mogła zobaczyć obu mężczyzn. Starszy z nich, siwiejący na skroniach, odliczał na rękę drugiego dziesięć - lub dwudziestofuntowe banknoty. Wygląda na rozpustnika, pomyślała Salrina. Miał podkrążone wyłupiaste oczy i kilka podbródków nad kołnierzykiem.

Ten drugi, nerwowo zgarniający pieniądze w swoje szczupłe dłonie o długich palcach, był tak typowym Francuzem, że mógłby uchodzić za karykaturę dandysów, jakie widywała na satyrycznych rysunkach. Chudy i żylasty, o ciemnych oczach i długim nosie, miał w sobie coś z lisa.

- Tysiąc funtów - rzekł Anglik po cichu - a drugi tysiąc dostanie pan, jak tylko regent umrze. Razem z tym, co pan dostanie z pewnością od cesarza, nie będzie pan miał krzywdy.

- Merci, monsieur.

Nie było dalszych komentarzy, a szeleszczące papierki zniknęły w kieszeni eleganckiego surduta Francuza.

- Do widzenia i powodzenia - rzekł Anglik.

. Na wypadek gdyby im przyszło do głowy sprawdzić, czy ona istotnie śpi, Salrina położyła się znowu w tej samej co przedtem pozycji. I dobrze zrobiła, bo parę sekund później wyczuła, że Francuz przygląda się jej przez żelazne pręty drzwi. Zmusiła się, aby przybrać pozycję osoby rozluźnionej, jak gdyby kompletnie wyczerpanej, ale i tak miała wrażenie, że on zastanawia się, czy dla większej pewności jej nie zabić.

Usłyszała, że otwiera drzwiczki boksu i zamarła ze strachu, ale jednocześnie rozległ się czyjś głos:

- Mój pan mówił, żebym panu pomógł, sir. Francuz odwrócił się.

- Dziękuję. Przestało padać, mogę jechać dalej.

- To była okropna burza, sir - powiedział stangret i nie czekając na odpowiedź, zaczął wyprowadzać konia z sąsiedniego boksu.

Francuz poszedł za nim, prowadząc drugiego konia. Salrina słyszała, jak zaprzęgają je do faetonu, ale nie ruszała się z miejsca z obawy, że Francuz wróci sprawdzić jeszcze raz, czy mogła słyszeć ich rozmowę. Ze strachu wprost nie mogła oddychać. Wiedziała, że nigdy dotąd nie była tak bliska śmierci jak kilka minut temu. Po chwili usłyszała głos stangreta:

- Dziękuję panu, sir, dziękuję bardzo. - I zaraz potem głośny tupot jego butów, gdy wybiegł z podwórza. Francuz i jego faeton pozostali na miejscu. Salrina przypomniała sobie, że Anglik miał odjechać pierwszy. Po paru minutach usłyszała w oddali toczący się powóz, a chwilę później Francuz również wyjechał z podwórza na drogę.

Dopiero kiedy wszystkie odgłosy ucichły, Salrina zerwała się na nogi, włożyła żakiet i zdjęła z haka uzdy Jupitera i Oriona. Gdy obydwaj konie były gotowe do drogi, wyprowadziła je na dziedziniec. Blade słońce znów wyjrzało zza chmur, a wszystko jeszcze ociekało deszczem po burzy.

Namyślała się, czy powinna zapłacić za schronienie, z jakiego skorzystała i ona, i jej konie. Ale chłopiec stajenny pewno pomagał obsługiwać podróżnych w izbie i nie zjawił się, więc uznała, że jest nieświadomy jej obecności, podobnie jak sam gospodarz. Im szybciej stąd odjadę, tym lepiej, zdecydowała.

Wyruszyła w drogę i wkrótce rozejrzawszy się, zobaczyła drogowskaz, który jej uświadomił, że jest bliżej domu pana Carstairsa, niż sądziła.

Nie próbowała już jechać przez pola, lecz trzymała się krętych drózek. W pewnej chwili znalazła się przed olbrzymią ozdobną bramą, zwieńczoną herbowym jednorozcem z kamienia i domyśliła się, że jest to wjazd do Fleet, majątku hrabiego Fleetwooda. Pierwszy raz widziała tę bramę dawno temu, gdy odbywała przejażdżkę z ojcem, a potem, gdy kilkakrotnie razem z matką odwiedzała Mabel.

Wieś Little Widicot leżała nie dalej niż dwie mile od tego miejsca.

Ponieważ chciała nadrobić czas stracony z powodu burzy, jechała szybko, mijając małe wiejskie domki kryte strzechą i otoczone ogródkami pełnymi wiosennych kwiatów. Resztę drogi odbyła zmuszając konie do szybkiego kłusa.

Dom pana Carstairsa był zbudowany solidnie i dobrze utrzymany. Nie zależało jej na spotkaniu jego samego, gdyż ostatnio patrzył na nią w sposób dość impertynencki i robił wrażenie człowieka, którego lepiej unikać. Dlatego odczuła wielką ulgę, gdy wjeżdżając na podwórze zobaczyła tylko młodego chłopca stajennego, niosącego dwa wiadra wody, i ani śladu pana Carstairsa.

- Przyprowadziłam konia, na którego czeka twój pan - rzekła zsiadając z Oriona.

- Zagroda dla niego jest przygotowana - odparł chłopiec.

- Jeśli mi pokażesz która, sama go wprowadzę i rozsiodłam.

Chłopiec odstawił wiadra z wodą i otworzył drzwi.

- Pan Carstairs zostawił list dla tego, kto przyprowadzi konia - powiedział powoli.

Salrina poczuła szybsze bicie serca. Była pewna, że koperta zawiera owe trzysta gwinei, które miała nadzieję

otrzymać. Chłopiec wziął list z półki i podał jej, a ona schowała go do kieszeni żakietu.

Wiedząc, że Jupiter nie oddali się od niej, puściła go wolno, żeby pochodził po podwórzu, a sama wprowadziła Oriona do jego nowego pomieszczenia. Było ono bardziej luksusowe od tego, jakie miał u nich, i nierównie lepsze niż boks w zajeździe pocztowym. Pomyślała, że jakkolwiek można nie lubić pana Carstairsa, trzeba przyznać, że zapewnia on swoim koniom dobre warunki i troskliwą opiekę.

Zdjęła uzdę z Oriona i rozluźniła popręgi od siodła. Oczekiwała, że chłopak stajenny zostanie w stajni, aby jej pomóc, ale gdzieś zniknął, więc Wyniosła siodło z boksu i wróciła do Oriona, aby go poklepać i uspokoić. Koń zajął się już jedzeniem przygotowanym dla niego w żłobie, a Salrina stwierdziła, że pasza była lepsza niż ta, którą oni dawali swoim koniom.

- Dobrze ci tu będzie, mój mały - powiedziała - i pamiętaj, żebyś wygrał ten bieg z przeszkodami!

Orion zastrzygł uszami, ale jadł dalej, nie tracąc czasu na to, żeby się o nią otrzeć. Jej zaś zrobiło się żal, iż musi go tu zostawić, gdyż zżyła się z nim w czasie rocznego ujeżdżania. Był niewątpliwie najlepszym koniem, jakiego zdarzyło się dotąd trenować jej ojcu.

Poklepała go jeszcze raz po szyi i wyszła na podwórze, gdzie czekał na nią Jupiter. Odczepiła długie wodze, na których był prowadzony, i schowała je do kieszeni siodła. Podprowadziwszy konia do ławeczki, dosiadła go i wyjechała z fantazją na drogę.

Wtedy dopiero uprzytomniła sobie, że powinna coś zrobić ze sprawą, o której się dowiedziała z rozmowy dwóch nieznanomych. Do tej chwili jedyną jej myślą było uciec jak najdalej, bo bała się, że Francuz ją zabije. Teraz dotarł do niej cały sens ich rozmowy.

I gdy Jupiter niósł ją gładko i wygodnie w kierunku domu Mabel, zobaczyła, jakby to było przed nią wypisane ognistymi literami, że Francuz został wynajęty, aby zabić regenta! Wydało się jej to tak niewiarygodne, takie teatralne, że zaczęła się zastanawiać, czy się nie przesłyszała lub czy to nie był żart.

Wróciła myślą do rozmowy, jaką prowadzili ściszonymi głosami, ukradkiem, bojąc się, żeby ich ktoś nie usłyszał. Nie było wątpliwości, że to nikczemny spisek, obmyślony najwyraźniej przez głównego wroga Anglii, cesarza Napoleona Bonapartego i realizowany za cichą i haniebną zgodą jakiegoś Anglika. Czy to możliwe, żeby udało się zrobić coś takiego w Londynie, w pałacu Carlton? - pytała sama siebie Salrina. Zastanowiwszy się jednak, uznała, że to może być dosyć proste.

Francuz został zaopatrzony w zaproszenie i prezent od markiza St Cloud, który, jak Salrina podejrzewała, był jednym z wielu emigrantów francuskich. Niektórzy przybyli zaraz po wybuchu rewolucji, ale w ostatnich latach pojawiali się inni, którzy nienawidząc nowego reżimu we własnym kraju, uciekali przez Kanał, aby skorzystać z opieki Anglii.

Matka opowiadała jej często o tragedii tych ludzi. Teraz przyszło jej do głowy, że było wielu Francuzów, którzy byli pożądanymi gośćmi w pałacu Carlton i łatwo jakiś morderca może wmieszać się między nich, tak aby nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Im dłużej nad tym rozmyślała, tym większej nabierała pewności, że nie tylko jest możliwe, iż zamordują księcia regenta w jego własnym pałacu, podczas wydawanego przez niego przyjęcia, ale że jedyną osobą, która go może ostrzec, jest ona, Salrina.

Jeśli tak jest, to co powinnam zrobić? - zastanawiała się. Uznała, że powinna szybko wracać do domu i powiedzieć

wszystko ojcu. Ale natychmiast uprzytomniła sobie, że mając zwichniętą nogę i nie mogąc wsiąść na konia, ojciec zdenerwuje się tylko. Jedyne, co będzie mógł zrobić, to wysłać córkę następnego ranka do lorda gubernatora prowincji, który mieszka daleko od ich domu, więc może się zdarzyć, że zanim ona do niego dotrze, a on z kolei do Londynu, będzie już za późno.

- Co robić? Co robić? - mówiła do siebie głośno Salrina, a Jupiter, słysząc jej głos, odwracał głowę, jakby to jemu zadawała pytanie.

Zbliżając się do pierwszych domów wioski, Salrina zwolniła tempo.

Więc ma teraz składać wizytę Mabel i opowiadać o mało ważnych miejscowych wydarzeniach, wiedząc, że Francuz podąża do Londynu, aby zabić przystojnego, eleganckiego księcia regenta, o którym tyle się nasłuchiwała?!

- Muszę coś zrobić! Ale co?

Zbliżyła się już do domu Mabel, gdy zobaczyła wysoko nad drzewami powiewającą chorągiew hrabiego Fleetwooda. Był to znak, że hrabia jest w domu. Uznała to za odpowiedź na zadawane sobie pytanie. Gdyby opowiedziała hrabiemu podsłuchaną rozmowę, miałby on wszelkie szanse, aby szybko dotrzeć do księcia i poinformować go o przygotowywanym zamachu, który ma nastąpić już następnej nocy na przyjęciu.

Lecz Salrina jeszcze się wahała, bo wiedziała, że ojciec nie życzyłby sobie, aby zetknęła się z hrabią, o którym od wczesnego dzieciństwa słyszała bardzo różne opowieści.

Był najważniejszą osobą oraz najbogatszym i najbardziej atrakcyjnym młodzieńcem w sąsiedztwie. Rozmawiali o nim nie tylko jej rodzice i ich przyjaciele, ale również farmerzy, wieśniacy, wszyscy w okolicy. Salrina chciała zobaczyć wewnątrz pałacu, ale nigdy nie miała do tego okazji. Wiele lat temu, za życia starego hrabiego, jej rodziców czasem

zapraszano na ogrodowe przyjęcia urządzone co roku we Fleet. Młody hrabia był wtedy w wojsku. Lecz gdy odziedziczył tytuł i majątek, nawet nie próbował przyjmować u siebie ludzi z sąsiednich dworów. Urządzał natomiast bale i przyjęcia dla pięknych dam i wybitnych osób z Londynu. Goście zjeżdżali na kilkudniowe wizyty, a chociaż przy tej okazji urządzano też konne biegi na przełaj z przeszkodami, jej ojciec nie był zapraszany.

Ostatni taki bieg odbył się dwa miesiące temu i lord Milborne był trochę rozczarowany brakiem zaproszenia, bo sądził, że jadąc na Orionie miałby szansę, jeśli nie wygrać, to na pewno zdobyć drugie lub trzecie miejsce.

- Mógłbym wykazać jego możliwości - mówił z goryczą - i dostałbym wtedy za niego lepszą cenę.

- To bardzo nieuprzejmie ze strony hrabiego, że cię nie zaprosił - rzekła wtedy z gniewem Salrina.

Ale ojciec wzruszył tylko ramionami i powiedział dobrodusznie:

- Dlaczego miałby mnie zapraszać? Nie znaczę nic dla niego, a za swoje konie płaci on takie bająskie sumy, że nie ma szans, aby został moim klientem.

Mimo to Salrina czuła, że hrabia nie zachowuje się tak, jak powinien zachowywać się dżentelmen wobec swoich sąsiadów.

Gdyby ojciec był na jego miejscu - myślała - miałby pewne poczucie odpowiedzialności w stosunku do tych, którzy żyją w cieniu jego wielkiego i bogatego domu.

Nie byłaby kobietą, gdyby się nie zastanawiała, jakby to było być gościem hrabiego na którymś z wieczornych przyjęć. Wiejskie kobiety wędrowały całe kilometry, aby obejrzyć przybywających na te przyjęcia. Opisywały potem eleganckie powozy, wjeżdżające przez wielkie ozdobne bramy i podążające dębową aleją do pałacu, na którym powiewała

chorągiew hrabiego. Salrina czasami w wolnych chwilach wyobrażała sobie, jak ubrana w piękną suknię, z kwiatami we włosach, idzie na bal i tańczy pod olbrzymimi kandelabrami przy dźwiękach skrzypiec. Zwykle jednak miała mało czasu na takie marzenia i zbyt dużo zajęć związanych z opieką nad ojcem i doglądaniem koni. Wieczorami bywała tak zmęczona, że zasypiała w chwili, gdy jej głowa dotykała poduszki. Ale pałac Fleet był zawsze przedmiotem jej snów. Jeśli teraz zdobędzie się na odwagę, to wreszcie go zobaczy.

Dojechawszy do bramy parku, zatrzymała Jupitera i jeszcze raz zastanowiła się, czy dobrze robi, wstępując tutaj. Ojciec będzie wściekły, gdy dowie się, że samotnie pojawiła się u hrabiego. Może wysłać Mabel z tą wiadomością? Ale nawet jeśli Mabel będzie dość silna, żeby przejść pieszo taki kawał drogi, czy będzie ona umiała wytłumaczyć wszystko lokajowi, i czy ten powtórzy swemu panu tak nieprawdopodobną historię?

Salrina westchnęła.

- Coś z tym trzeba zrobić i wszystko na to wskazuje, że ten obowiązek spada na mnie. W dodatku powinnam ukryć swoje prawdziwe nazwisko. Jestem panną Milton i muszę przekonać hrabiego, aby pojechał do Londynu i uratował księcia regenta. A potem mogę z czystym sumieniem wracać do domu.

Ruszyła do przodu i nie musiała wzywać Odźwiernego, ponieważ bramy były otwarte. Był to znak, że hrabia jest w domu, a może nawet oczekiwał gości. Na tę myśl poczuła dreszcz obawy, że może spotkać się z eleganckimi światowymi ludźmi z Londynu. Z pewnością by ją wyśmiali i wtedy zostałaby odprawiona przez hrabiego jako osoba prawiąca nedorzeczności,

Ale zaraz powiedziała sobie rozsądnie, że jeśli nawet to się stanie, nikt nie będzie mógł jej potępić, w razie gdyby

doszło do zamordowania regenta. Ona ostrzeże hrabiego, a czy on jej uwierzy, to już jego sprawa.

Gdy pałac ukazał się przed nią, osądziła, że jego wspaniałość wręcz zapiera dech w piersiach. Był piękniejszy niż wszystko, co sobie wyobrażała w marzeniach. Nie tylko imponujący, wyglądał jak... zaczarowany. Jupiter niósł ją naprzód i nie umknęło jej nic z tego piękna: słońce odbijające się w oknach jak w brylantach, srebrzyście lśniące jezioro z białymi i czarnymi łabędziami i wspaniała architektura mostka przerzuconego przez jezioro jeszcze w czasach, gdy Fleet było klasztorem.

Szeroki podjazd podchodził do schodów wiodących do frontowych drzwi. Ogrody po obu stronach były tak pięknie utrzymane, że Salrina przypomniawszy sobie dżunglę koło własnego domu, nazywaną także ogrodem, uznała, że nie można obu zaliczyć do tego samego gatunku. Gdy zbliżała się do pałacu, zobaczyła biegnącego ku niej chłopca stajennego. Oto przykład idealnie wyszkolonej służby w majątku jego lordowskiej mości, gdzie nawet przypadkowy gość jest natychmiast obsłużony, pomyślała. Gdy zatrzymała Jupitera, chłopiec stajenny stał już przy jego głowie.

Zsiadłszy Salrina rzekła:

- Nie zamierzam pozostawać tu długo, ale byłabym wdzięczna, gdyby napojono mojego konia. Przyjechałam z dość daleka.

- Zajmę się tym, proszę pani - odparł z szacunkiem stajenny i odprowadził Jupitera, a ona weszła na schody. Zdążyła przebyć zaledwie parę stopni, gdy drzwi otworzyły się. Jeden rzut oka upewnił ją, że czeka na nią majordomus w towarzystwie czterech służących. Ogarnęła ją panika i przez moment pożałowała, że tu przybyła. Ale po chwili, jakby wsparta przez zmarłą matkę, poczuła, że nie zazna spokoju,

jeśli nie spełni obowiązku wobec regenta, i opanowawszy się, powiedziała:

- Chciałabym, jeśli to możliwe, zobaczyć się z hrabią Fleetwoodem.

- Czy jest pani umówiona, madame?

- Niestety, nie. Ale czy nie zechciałby pan poinformować hrabiego, że chodzi o sprawę wielkiej wagi?

Nastąpiła dłuższa potyczka słowna, zanim lokaj w końcu wprowadził ją przez marmurowy hall udekorowany kamiennymi posągami do salonu, który wydał się jej niezwykle wytworny i piękny. Zdenerwowanie nie pozwoliło jej obejrzeć dokładniej tego, co ją otaczało, na przykład przepięknego Rubensa na jednej ścianie, a Pousina na drugiej.

Lady Milborne wychowywała się w domu pełnym świetnych obrazów, które przechodziły prawem majoratu z jednej generacji na drugą. Dołożyła więc starań, aby edukacja córki zawierała również umiejętność oceny malarstwa, stylów, starych sreber, mebli i porcelany.

Po śmierci matki ojciec rzadko z nią rozmawiał na tematy nie związane z końmi, ale ona nie zapomniała, czego ją nauczyła ukochana matka. Przeszył ją ból, gdy sobie uświadomiła, że nie będzie mogła po powrocie do domu opowiedzieć jej, co tu widziała, i dyskusją nad tym wzbogacić swoją wiedzę o sztuce. Zdawało się jej, że mały obrazek wiszący między wspaniałymi lustrami w złotych ramach chippendale to Rembrandt, ale nie była tego pewna.

Gdy tak rozglądała się wokół, usłyszała odgłos otwieranych drzwi i znieruchomiała. Domyśliła się, że ten kto wszedł, nie mógł być nikim innym, jak tylko hrabią Fleetwoodem. Nigdy nie sądziła, że mężczyzna może wyglądać tak elegancko, być tak przystojnym, a jednocześnie tak agresywnie męskim dżentelmenem. Za nim zjawił się drugi mężczyzna, tak samo wysoki i również przystojny.

Salrinę widok hrabiego tak oszołomił, że z trudnością mogła mu patrzeć w oczy. Ale jeszcze trudniej było nie patrzeć.

- Pani życzyła sobie widzieć się ze mną - rzeki hrabia, a w jego głosie dźwięczała lekko pogardliwa nuta, jakby to, co zrobiła, nudziło go.

Salrina dygnęła.

- Tak, milordzie, i muszę przeprosić za moje najście, ale chodzi o niezwykle ważną sprawę.

- Mam nadzieję, że nie zajmie nam to dużo czasu - rzekł hrabia trochę ostrzej - gdyż zamierzałem wyjechać na konną przejażdżkę.

- Przykro mi, że przeszkadzam jego lordowskiej mości, i powiem wszystko jak najkrócej.

Tu zawahała się i spytała:

- Czy mogłabym mówić z jego lordowską mością na osobności?

Zorientowała się, że źle zrobiła, bo w głosie hrabiego pojawiła się wyraźna nuta sarkazmu, gdy odparł:

- Cokolwiek ma pani do powiedzenia, nawet jeśli to dotyczy pani spraw osobistych, może pani mówić w obecności mego przyjaciela - lorda Charlesa Eghama.

Była to prezentacja. Salrina znów dygnęła. Nie uszło jej uwagi określenie „pani spraw osobistych” i zrozumiała, że hrabia z góry lekceważąco się odnosi do tego, co miała mu powiedzieć. Odebrało jej to na chwilę odwagę i już błysnęła jej myśl, aby wyjść nic nie mówiąc, gdy lord Charles, jakby rozumiejąc jej obawy, powiedział:

- Sądzę, Alaric, że jakkolwiek bardzo się spieszysz, lepiej będzie usiąść i wysłuchać, co pani ma nam do powiedzenia.

- Może i tak - zgodził się hrabia. Wskazał krzesło, które stało tuż za nią, i Salrina opadła na nie, mając wrażenie, że za chwilę nogi by się pod nią same ugięły.

Hrabia usiadł w fotelu z wysokim oparciem po drugiej stronie kominka, a lord Charles usadowił się wygodnie na sofie naprzeciwko nich.

Wyraźnie czekali, aby zaczęła mówić, więc głosem cichym i jak się jej zdawało, nieskładnie, powiedziała:

- Może się to wydawać dziwne, że tutaj przyszedłam, choć jestem panu zupełnie obca... ale nie wiem, do kogo innego mogłabym się zwrócić, a obawiam się, że... jeśli komuś nie powiem, co się zdarzyło... wymkną bardzo poważne konsekwencje...

- Zanim pójdziemy dalej, może pani powiedzieć swoje nazwisko? - przerwał hrabia.

- Salrina... Milton.

Wyraźna pauza między imieniem a nazwiskiem wynikała z faktu, że przez krótki moment Salrina nie mogła sobie przypomnieć, jak postanowiła się nazywać.

- Bardzo dobrze, panno Milton, proszę kontynuować - rzekł hrabia.

Oceniła, że nie ułatwia jej sytuacji, a lord Charles ponownie chcąc jej przyjść z pomocą, zapytał:

- Przyjechała pani konno, i to z daleka, więc może napiłaby się pani czego? Na przykład kieliszek wina?

- Nie, nie... nic, dziękuję - powiedziała szybko Salrina. - Nie jestem spragniona, tylko boję się tego... co się może stać.

- Została pani pewnie wciągnięta w zasadzkę przez bandytów - rzekł hrabia - a takie skargi, jeśli mi wolno przypomnieć, powinny być przedstawione konstablowi, a nie mnie.

- Nie... nie, milordzie, to nie to...

Hrabia spojrział z utęsknieniem w stronę okna, a Salrina dodała szybko:

- Proszę... mnie wysłuchać, a potem zaraz odjadę. Byłam w drodze niedaleko stąd, kiedy spotkała mnie burza.

- A burza rzeczywiście była, grzmiało strasznie - wtrącił lord Charles. - Mówiłem właśnie hrabiemu, że mieliśmy szczęście znalazłszy się w domu, zanim rozpętała się nad naszymi głowami. Konie niezbyt lubią burze, pani koń pewnie też.

Salrina już miała wyjaśnić, że Jupiter nie bał się burzy, tylko inny koń, na którym jechała, ale pomyślała, że to nie ma znaczenia.

- Schroniłam się, milordzie - mówiła dalej, patrząc znów na hrabiego - w przydrożnym zajeździe. Wydawało mi się, że nikogo tam nie ma, więc wprowadziłam konia do stajni.

- Bardzo rozsądnie - pochwalił lord Charles.

- Ponieważ widziałam, że w zajeździe są jacyś mężczyźni, zdecydowałam się zostać w stajni - ciągnęła - i usiadłam na słomie.

Hrabia słuchając stłumił ziewnięcie, jakby chciał podkreślić, że go to nudzi. Salrina czuła, że z każdą chwilą bardziej się denerwuje, dodała więc szybko:

- Wtedy właśnie podsłuchałam rozmowę dwóch mężczyzn w sąsiednim boksie... Planują zabić... księcia regenta.

Gdy to mówiła, gwałtownie wyrzucając z siebie słowa, obaj panowie zeszywnieli i spojrzeli na nią z niedowierzaniem.

- Czy pani powiedziała, że oni planują zabić księcia regenta? - spytał hrabia.

- Tak... i jeden był Francuzem, i dostał za to tysiąc funtów, a drugie tyle dostanie, jak tylko księżę regent będzie... zabity.

Zapadła cisza. Wreszcie hrabia powiedział:

- Czy to jakiś żart? Kto panią przysłał, żeby nas pani uraczyła tą bzdurą?

Po raz pierwszy, odkąd weszła do tego domu, Salrinę opuściła niepewność, a ogarnął gniew. Podniosła się z krzesła mówiąc:

- Przepraszam, milordzie! Znudziłam pana, ale sądziłam, że jest pan właściwą osobą, i że do pana powinnam się udać ze względu na dobrze znany fakt, że jego książęca wysokość zaszczyca pana przyjaźnią. Pojadę poszukać kogoś, kto z większą odpowiedzialnością wysłucha, co mam do powiedzenia.

Skończywszy, dygnęła przed hrabią i skierowała się ku drzwiom. Prawie jednocześnie lord Charles zerwał się z sofy.

- Proszę się zatrzymać! - powiedział. - Nie może pani tak odejść. Ja pani wierzę i muszę się dowiedzieć reszty tej historii.

Spojrzał z naganą na hrabiego, który zaczął: - Ależ, Charles...

Lecz lord Charles przebiegł przez pokój i stanął przed Salriną w momencie, gdy miała otworzyć drzwi.

- Proszę nam wybaczyć - rzekł - jeśli robimy wrażenie niedowiarków; ale sama pani rozumie, że trudno w to uwierzyć. Wszystko to brzmi tak dramatycznie.

Sposób, w jaki do niej przemawiał, oraz fakt, że zagradzał jej drogę do wyjścia, zmusił ją do spojrzenia mu w oczy.

- Ja... odczuwam to samo - rzekła drżącym głosem - ale to... prawda!

- Wierzę pani - powtórzył lord Charles - więc niech pani wróci i opowie nam dalszy ciąg tej historii. Chyba pani sobie zdaje sprawę, że jeśli ten Francuz zamierza zamordować jego wysokość, musimy temu zapobiec.

- Tak właśnie sądziłam - rzekła Salrina - ale myślę... - Obejrzała się na hrabiego, który nie ruszył się ze swego fotela. - Myślę, że... będzie lepiej, jak sobie... pójdę.

Nastąpiła cisza. Po chwili lord Charles powiedział ostrym tonem:

- Czy chcesz, żeby odeszła, Alaric? Jeśli odejdzie, a księżę zostanie zamordowany, jak się będziesz czuł?

Hrabia wstał z fotela.

- Proszę, niech pani wróci, panno Milton. Przepraszam, jeśli byłem niegrzeczny, ale pani wie, że krążyło sporo plotek na temat rzekomych prób zabicia jego wysokości, które się nigdy nie potwierdziły.

- Nie wiedziałam... nie wiedziałam o tym nic... szepnęła Salrina.

Potem znów spojrzała na lorda Charlesa.

- Lepiej już pójdę - rzekła błagalnie. - Jeśli będę jechała bardzo szybko, może uda mi się dotrzeć do konstabla jeszcze dziś wieczorem. On mieszka daleko stąd.

- W żadnym wypadku nie może pani tego zrobić. Na litość boską, Alaric, przekonaj pannę Milton, że los księcia nie jest ci obojętny. Mówiliśmy dziś rano, że Bonaparte jest w rozpaczliwej sytuacji. Można więc przypuszczać, że wynajął płatnego zabójcę, aby pozbyć się „Pierwszego Dżentelmena Europy”.

Hrabia zaśmiał się niewesoło.

- No, dobrze, Charles. Wygrałeś. Proszę, niech pani usiądzie, panno Milton, i dokończy tej historii.

Był to raczej rozkaz niż prośba, więc Salrina usiadła niechętnie, czując, że nienawidzi hrabiego.

- Może byłoby dobrze - rzekł lord Charles, przysiadając się bliżej - gdyby pani zaczęła od początku i opowiedziała nam dokładnie, słowo w słowo, co się zdarzyło.

Cichym głosem, nie patrząc na hrabiego, ale na lorda Charlesa, Salrina opowiedziała, jak z powodu zmęczenia zasnęła, a gdy się obudziła, usłyszała dwa męskie ściszone głosy, i że jeden z mężczyzn mówił z francuskim akcentem.

Potem powtórzyła najdokładniej, jak pamiętała, słowo po słowie, ich rozmowę i dodała, że po odejściu Anglika czuła, że Francuz gotów był ją zabić, mimo że udawała cały czas śpiącą.

- Naprawdę tak pani myślała? - spytał lord Charles. - To musiało panią strasznie przestraszyć.

- Byłam... przerażona, ale jakoś udało mi się nie poruszyć. I wtedy przyszedł stangret Anglika, żeby wyprowadzić konie ze stajni.

- A kiedy oni zniknęli, pani też odjechała?

- Nikt się nie pokazał, domyśliłam się, że stajenny pomaga w gospodzie, i nie miałam komu zapłacić, więc odjechałam.

- A dokąd pani jechała? - spytał hrabia. Nie odzywał się wcale od chwili, gdy rozpoczęła swoją opowieść, więc spojrzała teraz na niego, jakby przypominając sobie o jego obecności, zanim odpowiedziała:

- Musiałam doręczyć pewną wiadomość, milordzie.

- Komu?

- Nie sędzę, żeby to miało jakieś znaczenie. Moim jedynym problemem jest powiadomić odpowiednie władze o tym, co jest planowane, i zrzucić z siebie odpowiedzialność.

Hrabia odchylił się na oparcie krzesła.

- Wynika z pani słów, że ja i lord Charles powinniśmy udać się natychmiast do Londynu, aby ostrzec księcia regenta, a pani, naturalnie, musi być zaproszona na jutrzejsze przyjęcie, które jego księżęca wysokość wydaje w pałacu Carlton.

Zapadła cisza. Salrina patrzyła na niego zdumiona, a on dodał:

- Bardzo sprytnie, jeśli można się tak wyrazić. Oryginalny sposób dostania się do tego Eldorado młodych pań.

- Nie wiem... nie wiem... o czym pan mówi - wyjąkała Salrina prawie bezgłośnie.

- Czy jest w królestwie choć jedna kobieta, która nie marzy, aby znaleźć się w tym przesławnym miejscu i być przedstawioną „księciu z bajki”, w nieco korpulentnej osobie księcia regenta, a potem przechwalać się tym wśród przyjaciół?

Minęła chwila, zanim Salrina zdała sobie sprawę, co on insynuuje. Zerwała się po raz drugi z krzesła i powiedziała głosem, który zabrzmiał dźwięcznie i donośnie w całym pokoju;

- Jak pan śmie! Jak pan śmie sugerować, że ja poniżyłabym się do tego stopnia i zrobiła coś takiego! Jest pan, milordzie, człowiekiem absolutnie i całkowicie godnym pogardy, i żałuję, że zajęłam panu tyle czasu, licząc na pana patriotyzm!

Przebiegła przez pokój tak szybko, aby lord Charles nie zdążył jej zatrzymać, i wyszła do hallu, gdzie natknęła się na służącego, stojącego przy głównym wyjściu.

- Czy mam przyprowadzić pani konia? - zapytał uprzejmie.

- Sama pójdę do stajni - odparła Salrina z trudem dobywając głosu - proszę mi tylko pokazać drogę.

Służący zdziwił się, ale posłuchał bez słowa. Gdy już zeszli ze schodów, Salrina zdała sobie sprawę, że lord Charles wołał za nią od drzwi.

- Panno Milton! Panno Milton!

Ale ona nawet nie odwróciła głowy, tylko spiesznie szła naprzód.

Rozdział 4

Gdy Salrina wybiegła, lord Charles zwrócił się do hrabiego:

- Oszalałeś, Alaric? Dlaczego obraziłeś tę dziewczynę?

- Nie wierzę ani jednemu słowu, które wyrzekła - odparł krótko hrabia.

- A ja jestem przekonany, że mówiła prawdę - zareplikował lord Charles. - A czy nie boisz się, że Książątko zginie, zamordowany tylko dlatego, iż my, jedyne dwie osoby, które uprzedzono, że szykuje się zamach, nie zrobiliśmy nic, żeby temu zapobiec?

Hrabia wstał i wpatrywał się przez dłuższą chwilę w swego przyjaciela, zanim zapytał:

- Czy naprawdę wierzysz, że może się wydarzyć taka absurdalna historia, jakby żywcem wyjęta z jakiejś komedii?

- Tak. I zaryzykuję podjęcie jakichś kroków, nawet jeśli ty nie chcesz - odparł lord Charles.

Hrabia wahał się jeszcze przez chwilę, aż wreszcie powiedział z rezygnacją:

- No, dobrze, przeproszę ją.

- Będziesz się musiał pospieszyć, bo inaczej ona odjedzie, a nie mamy pojęcia, gdzie mieszka ani gdzie jej szukać.

Pełne zwątpienia spojrzenie hrabiego wyrażało cyniczne przekonanie, że Salrina nie będzie się spieszyła z odjazdem.

Gdy skierował się do hallu, Charles wyprzedził go i zaczął ją przywoływać, ale Salrina nie zareagowała.

Dotarłszy do drzwi stajni za skrzydłem domu, zwróciła się do pierwszego stajennego, który się pojawił:

- Proszę o mojego konia, jak najszybciej!

Ten, najwyraźniej zaskoczony jej widokiem w stajni, pobiegł natychmiast do pierwszego budynku w długim szeregu zabudowań, a Salrina udała się za nim i stwierdziła, że rozsiodłany Jupiter zajadał w boksie ze smakiem paszę ze

żłobu. Musiała przyznać, że był to największy i najlepiej utrzymany boks, jaki kiedykolwiek widziała. Przeszło jej przez myśl, że życzyłaby swojemu ojcu, aby go było stać na takie luksusowe pomieszczenia dla koni.

W chwili, gdy stajenny zaczął zakładać uzdę koniowi, który z trudnością dał się oderwać od żłobu, Salrina zorientowała się, że ktoś jeszcze wszedł do stajni. Spodziewała się lorda Charlesa, ale ku swojemu zdumieniu usłyszała głos hrabiego:

- Znowu muszę panią przeprosić, panno Milton. Proszę darować mi moje nieokrzesanie i jeszcze raz porozmawiać o tym, co pani słyszała i widziała.

Salrina potrząsnęła głową i powiedziała po chwili:

- Nie mam nic do dodania, milordzie.

- To nieprawda - zaprzeczył hrabia. - Wcale pani nie opisała wyglądu tych mężczyzn.

Salrina zdała sobie sprawę, że miał rację. Zdenerwowana jego wrogą postawą, nie wchodziła w szczegóły tego, czego była świadkiem. Poza tym czuła, że jest wobec tego wyniosłego i imponującego człowieka w jakimś stopniu skompromitowana, gdyż podsłuchiwała i podglądała obcych ludzi.

Milczała więc, marząc jedynie o szybkim powrocie do ojca, aż hrabia w końcu powiedział:

- Bardzo panią proszę, niech pani wejdzie do domu. To nie jest odpowiednie miejsce do rozmowy.

- Nie trzeba, żebym wracała, milordzie - odpowiedziała Salrina. - To, co pan chciałby wiedzieć, mogę powiedzieć na dziedzińcu.

Zdawała sobie sprawę, że byłoby błędem mówić zbyt dużo wobec stajennego, więc wyszła na dziedziniec najgodniej jak potrafiła. Czekał tam na nich lord Charles, a Salrina domyśliła się, że to on skłonił hrabiego do pójścia za nią i przeprosin.

Nie mogła zmusić się jednak, aby spojrzeć na któregoś z nich. Zatrzymała się parę metrów od drzwi stajni, wbiła wzrok w ziemię i modliła się, aby móc uciec stąd jak najszybciej. Po dłuższej chwili ciszy lord Charles rzekł:

- Jeśli panna Milton wybaczyła ci, Alaric, twoją przerażającą niegrzeczność, proponuję, żebyśmy przedyskutowali nad szklaneczką wina, co mamy uczynić.

- Nie, nie, przepraszam! - wykrzyknęła Salrina. - Nie mogę pozostać tak długo. Bardzo się spieszę.

- Nie wierzę, panno Milton, żeby jakiegokolwiek spotkanie było tak ważne jak to, o którym nam pani opowiedziała.

Hrabia nie mówił już teraz tak szyderczo jak przedtem, a mimo to Salrina czuła instynktownie, że nie uwierzył w jej opowieść.

Uczyniła gest wyrażający beznadziejność.

- Powiedziałam wszystko, co się wydarzyło. Nic więcej nie mogę zrobić. Chyba teraz nie będzie panom trudno uchronić przed zamachem jego książęcą mość, skoro już wiedzą panowie o zamiarach Napoleona Bonapartego. - Mówiła przekonana, że hrabia w dalszym ciągu jej nie wierzy.

- A ja naprawdę muszę już jechać.

Z ulgą zobaczyła, że stajenny wyprowadza już Jupitera ze stajni.

- Jedyne, co mogę zrobić, to jeszcze raz panią prosić, żeby pani pomogła nam zapobiec czemuś, co byłoby wielką katastrofą dla całego kraju, jak również miażdżącym ciosem dla armii Wellingtona.

Salrina, która już szła w kierunku Jupitera, stanęła. To, co hrabia mówił, było prawdą. Gdyby żołnierze, walczący z taką rozpaczliwą determinacją w obcych krajach, dowiedzieli się o takiej tragedii, osłabiłoby to na pewno ich wolę walki, a może nawet pozwoliło najeźdźcom francuskim odnieść jeszcze jedno zwycięstwo. Zawsze jej trudno było znieść myśl o

cierpieniach ludzi, którzy wykazali tyle dzielności w kampanii na Półwyspie Pirenejskim walcząc z przeważającą siłą wroga. A że ich cierpienia były dla niej istotniejsze niż jej własne zranione uczucia, spytała trochę jak dziecko:

- Co pan... co pan chce, abym zrobiła? - Chcę, żeby mi pani wybaczyła i wróciła do domu, oraz pomogła lordowi Charlesowi i mnie postąpić jak najlepiej w tej niezwyklej sytuacji - odpowiedział hrabia.

Wydawało się jej niewłaściwe sprzeczać się z nim w obecności stajennych, więc nie odpowiedziała, lecz odwróciła się i ruszyła w kierunku domu.

Hrabia kazał chłopcu zabrać Jupitera z powrotem do stajni, a Salrina w towarzystwie obu panów udała się do pałacu. Nikt z nich nie wymówił słowa, gdy wchodzili po schodach aż do frontowych drzwi, gdzie czekał szereg lokajów.

- Proszę przynieść butelkę szampana do biblioteki - rozkazał hrabia. - Tak jest, milordzie.

Jeden z lokajów pospieszył, aby otworzyć przed nim drzwi do biblioteki większej i wspanialszej, niż Salrina mogła sobie wyobrazić. Książki pokrywały całe ściany; w/dłuż jednej z nich biegł długi balkon, a okna naprzeciwko wychodziły na ogród pełen kwiatów. Przez moment zapomniała, po co tu przybyła, takie opanowało ją pragnienie, aby zasiąść w tym pokoju, zagłębić się w książkach i dowiedzieć się z nich o wielu rzeczach, które zawsze chciała poznać.

Gdy hrabia wskazał jej ręką sofę obok kominka, usiadła, złożyła razem ręce i podniosła na niego oczy.

Wyglądała tak młodo i była tak niepewna siebie, że hrabia nieoczekiwanie powiedział:

- Jestem naprawdę skruszony! Zaczniemy jeszcze raz od samego początku, bo kiedy pani przyszła tutaj szukać pomocy

i doniosła mi o czymś tak wstrząsającym, trudno mi było w to uwierzyć.

Salrina odetchnęła głęboko. Czowała instynktownie, że hrabia z trudnością zdobył się na słowa przeproszenia, a ponieważ nie umiała długo chować urazy, postanowiła zrobić to, czego sobie będzie życzył, mimo że jego cynizm i egoizm wzbudzały w niej niechęć. Hrabia usiadł w fotelu, a lord Charles na drugim końcu sofy.

- A więc teraz poprosimy panią - rzekł hrabia oficjalnym tonem, jakby znajdował się na zebraniu jakiegoś komitetu - aby nam pani dokładnie opisała wygląd tego Anglika, a lord Charles i ja postaramy się go zidentyfikować.

- Francuz zwracał się do niego monsieur, ale raz powiedział milordzie - powiedziała Salrina.

- To ułatwi z pewnością poszukiwania - zauważył hrabia.
- Jak pani sądzi, ile mógł mieć lat?

Salrina zastanowiła się:

- Około pięćdziesięciu. Spróbuję go opisać. Powiedziała, że zrobił na niej wrażenie zniszczonego hulaszczym trybem życia, miał worki pod oczami i kilka podbródków, które wypływały z wykrochmalonego na sztywno kołnierzyka.

Nie wspomniała tylko, że według niej musiał być bardzo bogaty, skoro dawał tysiąc funtów i obiecywał drugi po śmierci regenta.

- Czy rozpoznałaby pani jego głos, gdyby go pani ponownie usłyszała? - spytał hrabia.

- Myślę... że tak... Nie jestem pewna.

- Ale pamięta pani jego twarz i mogłaby go pani wskazać?

Salrina nie odpowiedziała, bo uderzyło ją, że hrabia insynuuje jeszcze raz, jakoby jej zależało na zaproszeniu do pałacu Carlton. Lord Charles, jakby odczytując jej myśli, wtrącił z pośpiechem:

- A teraz chcielibyśmy wiedzieć, jak wyglądał Francuz. Tego przynajmniej łatwo opisać - pomyślała Salrina.

Spiczasty nos, twarz lisia, a poza tym ubrany elegancko jak prawdziwi dandysi wielokrotnie oglądani przez nią na satyrycznych rysunkach. Gdy podała tę charakterystykę na głos, lord Charles wykrzyknął:

- A więc mamy już jakiś punkt zaczepienia!

- Identyfikacja będzie dla nas tym łatwiejsza, że panna Milton pojedzie z nami - dorzucił hrabia.

Salrina spojrzała nań, skonsternowana. - Już pan to raz sugerował, milordzie - powiedziała cichym głosem - ale, niestety, nie widzę żadnego sposobu, abym mogła panom pomóc w dalszych poszukiwaniach tego człowieka.

- A jednak musi to pani zrobić - odparł hrabia. - Tylko pani może rozpoznać Francuza, nikt inny, a ponieważ w pałacu będzie niewielu francuskich gości, z pani pomocą uda nam się go zidentyfikować i usunąć, zanim zrobi coś niebezpiecznego.

- W takim razie, milordzie, jest oczywiste, że nie jestem tam potrzebna. Ci, którzy strzegą księcia, muszą tylko dopilnować, aby żaden Francuz nie zbliżał się do niego przez cały ten wieczór, albo odprawić wszystkich Francuzów którzy przyjdą, i będzie po kłopotcie.

Salrinie wydawało się, że sprytnie to wymyśliła, ale ku jej zdziwieniu hrabia rzekł stanowczo:

- Jeśli nie uda mu się jutro wieczorem dzięki tym ostrożnościom, które pani doradza, czy możemy być pewni, że nie będzie próbował innego dnia?

Rzeczywiście, nie przyszło jej to do głowy, i choć nie lubiła hrabiego, nie mogła mu odmówić lotnego umysłu.

- Ale zgodnie z tym, co mówił Anglik - powiedziała trochę niepewnie - oni na pewno odeślą Francuza z powrotem do Francji i poszukają kogoś innego.

- Nie wydaje mi się to prawdopodobne - wtrącił lord Charles. - W końcu tysiąc funtów to spora suma, a więc Anglik będzie żądał wywiązania się z obietnicy.

- A co więcej - dodał hrabia - sama pani mówiła, że Bonaparte jest zapewne także tym zainteresowany, więc morderca nie będzie chciał zrobić zawodu swojemu cesarzowi.

- Ja to wszystko rozumiem - zgodziła się Salrina - ale nic więcej nie mogę zrobić. Muszę jutro wrócić do swojego ojca, który źle się czuje, i będę się modlić, aby informacje, które panom przekazałam, pomogły uratować życie jego książęcej mości.

- Już mówiłem, że nie potrafimy tego dokonać bez pani, panno Milton - nastawaj hrabia.

- Ale musicie to zrobić! Błagam... Czy nie rozumiecie? Musicie! Nastąpiła chwila ciszy, a potem hrabia rzekł:

- Nie wierzę, żeby jakakolwiek Angielka nie uważała w takiej chwili za swój patriotyczny obowiązek pomóc naszym armiom. Lord Charles i ja walczyliśmy na Półwyspie Pirenejskim i mogę panią zapewnić, że nie było dzielniejszych żołnierzy niż nasi, i że żadna armia nie zniósłaby tych trudów, które cierpieli nasi ludzie, przebijając się przez Portugalię.

Po raz pierwszy hrabia mówił z taką powagą, a w słowach jego dźwięczało szczere uczucie, co zrobiło na Salrinie głębokie wrażenie. Spojrzała na niego badawczo i złożyła dłonie:

- Zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc naszym żołnierzom - powiedziała stłumionym przez wzruszenie głosem. - Nie mogę myśleć o ich cierpieniach i... ranach, jakie odnoszą ludzie... i... konie. - Z trudem stłumiła szloch, co nie uszło uwagi obu panów.

Po chwili lord Charles rzekł:

- Właśnie dlatego, że tak pani czuje, panno Milton, powinna pani nam pomóc uratować księcia regenta za wszelką cenę.

- To prawda - dorzucił hrabia. - Jako żołnierz mogę stwierdzić z całą pewnością, że dla wojska w tym właśnie momencie, kiedy liczymy i modlimy się o bliskie zwycięstwo, nie może być gorszego ciosu niż wiadomość, że człowiek, który jest symbolem naszej kultury i cywilizacji, został tak niegodnie zgładzony.

Zapanowała cisza. A potem Salrina znowu powiedziała jak grzeczne dziecko:

- Co pan chce... abym... zrobiła? Hrabia wydał westchnienie ulgi, jak gdyby uświadomił sobie, że nareszcie wygrał tę bitwę:

- Co wszyscy powinniśmy zrobić - powiedział głośno - to wyruszyć jak najszybciej do Londynu. Jeśli każę zaprząć faeton, to dojedziemy na Berkeley Square przed obiadem.

Salrina wydała lekki okrzyk.

- Ja... ja nie mogę tego zrobić! To jest... niemożliwe! Muszę wracać do ojca. Jeśli nie będzie mnie w domu do jutra, zaniepokojony ojciec... bardzo się rozgniewa na mnie.

- Jestem pewien, że ojciec pani zrozumie te niezwykle okoliczności - powiedział lord Charles.

Przez głowę Salriny przemknęła myśl, że jej ojciec byłby wstrząśnięty, gdyby udała się do Londynu z hrabią Fleetwoodem oraz jeszcze jednym panem. Tylko rozmawiając z nim osobiście mogłaby mu wytłumaczyć swoje postępowanie.

- Nie mogę tego zrobić... nie mogę... naprawdę! - powtarzała.

- Pozostaje nam więc wysłać kogoś do pani ojca, aby mu wytłumaczył, co się stało - rzeki hrabia. - Jeśli pani napisze do

niego list, wyślę go natychmiast przez któregoś ze stajennych. Jestem pewien, że on to zrozumie.

Salrina rozważała tę możliwość przez chwilę, lecz naraz przypomniała sobie, że ojciec pod żadnym pozorem nie pozwolił jej zdradzić się ze swoją tożsamością. Poczowała się jak w labiryncie bez wyjścia i myślała gorączkowo, co zrobić. Może zamiast przez stajennego, którego chce wysłać hrabia, można by przekazać wiadomość przez Mabel? Ale gdyby nawet ktoś chciał ją zawieźć do ich dworu, czy Mabel nie jest już za stara i za słaba, żeby jechać w taką drogę? Nagle przypomniała sobie, że od czasu, gdy Mabel przekazała sklep swojemu synowi, Salrina spotykała go tam kilkakrotnie. Nie było więc niemożliwe przekazać wiadomość ojcu tą drogą.

- Moim zamiarem, milordzie - rzekła, starannie dobierając słów - było odwiedzić pewną kobietę, która mieszka w jednym z ostatnich domków na skraju pana wioski. Gdybym do niej teraz pojechała, może udałoby mi się ją skłonić, aby udała się do mego ojca i wyjaśniła sytuację, w jakiej się znalazłam. Ona zaś mogłaby zostać na noc w naszym domu.

Mówiąc to myślała, że tak skomplikowana historia na pewno zostanie odrzucona przez hrabiego, ale ku jej radości hrabia rzekł:

- Jeżeli takie jest pani życzenie, panno Milton, to oczywiście musimy się na to zgodzić. Tu spojrzął na lorda Charlesa.

- Twoja sugestia, żebym pobił mój własny rekord w powrotnej drodze, została najwyraźniej uwzględniona przez los, bo będę musiał tego dokonać wracając do Londynu..

Lord Charles zaśmiał się:

- Istotnie wizyta na wsi była bardzo krótka. Salrinie wydawało się, że o niej zapomnieli. Podniosła się:

- Czy mogę dostać swojego konia, żeby pojechać do wsi?
- spytała.

- Ależ oczywiście - rzekł lord Charles - zaraz wyśle służącego do stajni.

Wstał i wyszedł z pokoju, a Salrina i hrabia zostali sami. Hrabia odezwał się po chwili:

- Sądzę, panno Milton, że jesteśmy pani dłużnikami, nie tylko dlatego, że pani odkryła ten ohydny spisek, ale że zgodziła się pani jechać z nami do Londynu.

Gdy to mówił, nagle dotarło do niej, co to za sobą pociągnie, i wydała głośny okrzyk:

- Zupełnie zapomniałam... Nie pomyślałam o tym, ale przecież nie będę mogła pójść do pałacu Carlton!

- O czym pani mówi?

- Nie mam się w co ubrać! Jak mogłabym się pokazać w tym stroju?

Hrabia zaśmiał się.

- To jest coś, o czym każda inna kobieta, poza panią, panno Milton, pomyślałaby przede wszystkim.

- Och, to bardzo głupie z mojej strony - przyznała Salrina - ale ja nigdy nie mam czasu myśleć o strojach, więc się nie zastanawiałam, że do zidentyfikowania mordercy będę potrzebowała wieczorowej toalety...

Wydało się jej to zabawne i po raz pierwszy, odkąd rozmawiała z hrabią, uśmiechnęła się, a dołeczki ukazały się na jej policzkach.

- Ta przeszkoda nie jest nie do pokonania - rzekł sucho hrabia. - Dziś wieczorem będziemy w Londynie, a jutro będzie dość czasu, aby zaopatrzyć się w odpowiednią suknię i wszystko, co potrzebne, jak rękawiczki i pantofle.

Słyszając to Salrina powiedziała cichym głosem:

- Obawiam się, że to nie rozwiązuje problemu, ponieważ nie stać mnie na taki wydatek.

Mówiąc to przypomniała sobie o kopercie, którą miała w kieszeni, i która zawierała zapłatę za Oriona: albo czek, albo

trzysta gwinei w banknotach. Ale w żadnych, nawet najpoważniejszych okolicznościach, nie wydałaby tych pieniędzy tak bardzo potrzebnych nie tylko ojcu i jej, lecz także ich koniom - na coś tak nieważnego jak wieczorowa suknia.

- Niech pani się tym nie martwi - przerwał jej rozmyślenia hrabia - zaopatrzę panią, oczywiście, we wszystko, co będzie potrzebne.

W jego głosie znów zabrzmiała sarkastyczna nuta, gdy pomyślał, jak wiele kobiet ubierało się na jego koszt. Oto jeszcze jedna kandydatka, choć dość niezwykła, gotowa skorzystać z jego hojności. Lecz po chwili zauważył, że Salrina patrzy na niego zaszokowana.

- Nie, to niemożliwe - oznajmiła. - Absolutnie nie mogłabym pozwolić, żeby pan lub jakikolwiek inny mężczyzna płacił za moje stroje! Cóż by powiedziała na to moja matka!

- Pani matka? - spytał hrabia. - A więc pani matka jest w domu i dogląda pani ojca?

Mówił to, jakby ją złapał na kłamstwie i Salrina wyjaśniła:

- Moja matka nie żyje, ale staram się zachowywać tak, jakby sobie życzyła.

- No tak, oczywiście - przytaknął hrabia i przez moment zastanawiał się nad czymś, zmarszczywszy czoło. A potem powiedział tonem triumfu, jakby zadowolony, że udało mu się rozwiązać jeszcze jeden problem: - Nie będzie z tym żadnych trudności! Wiem, że w moim domu w Londynie jest kilka wieczorowych strojów pozostawionych przez moją siostrę, która w tej chwili przebywa w Irlandii. Uznała, że nie będą jej tam potrzebne stroje zbyt wyszukane, którymi czarowała londyński beau monde. Salrina spytała po krótkim namyśle:

- Ale czy pańska siostra nie będzie miała pretensji, gdy pożyczę sobie jedną z jej sukien?

- Jej mąż, mój szwagier, służy w pierwszym pułku piechoty - odparł hrabia - a siostra zgodzi się na wszystko, co może przynieść korzyść jemu i całej armii Wellingtona.

Salrina uśmiechnęła się i powiedziała:

- Chyba powinnam pospieszyć teraz do mojej przyjaciółki w wiosce.

- Jeśli mi pani powie, gdzie to jest, ja i lord Charles przyjedziemy po panią powozem za dwadzieścia minut. Tyle czasu powinno pani wystarczyć na zorganizowanie wszystkiego, a jeśli to się nie uda, przyjdziemy pani z pomocą i wyślemy stajennego, jak już proponowałem.

- Dziękuję panu - powiedziała po prostu Salrina i wybiegła z biblioteki. W hallu spotkała lorda Charlesa, który wracał z wiadomością, że koń już na nią czeka. Sprowadził ją po schodach, podsadził na siodło i zręcznie ułożył jej spódnicę nad strzemieniem. Zanim odjechała, powiedział:

- Proszę mi obiecać, że nie zniknie pani jak bogini na Olimpie i że ujrzymy panią jeszcze.

- Znajdzie mnie pan we wsi, w domku pod nazwą „Powój” - odpowiedziała Salrina, przypomniawszy sobie, że nie podała adresu Mabel hrabiemu. Uśmiechnęła się, dotknęła Jupitera szpicrutą i szybko odjechała.

Droga do domu Mabel nie zajęła jej wiele czasu, a gdy tam przybyła, zobaczyła ze zdziwieniem stojący przed bramą wygodny zamykany powóz, do którego zaprzęgnięte były dwa konie. Zastanawiając się, któż to odwiedził Mabel, zsiadła z Jupitera i puściła go luzem na mały skrawek trawy koło domu. Dwaj służący patrzyli na to ze zdziwieniem z kozła powozu, ale Salrina była pewna, że Jupiter nie oddali się i przyjdzie do niej na każde zawołanie.

Otworzyła furtkę i wąską ścieżką, obramowaną rabatą bratków, pobiegła do ganku, który był obrośnięty powojem, co

wyjaśniało nazwę domu. Zapukała, a drzwi otworzyły się natychmiast.

Starsza kobieta o żywym spojrzeniu patrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Co ja widzę, panna Salrina! - wykrzyknęła. - Nigdy bym się nie spodziewała, że dziś panią zobaczę!

Salrina schyliła się, pocałowała ją w policzek i rzekła: - Jak to miło znów cię zobaczyć, Mabel. Niestety, nie mogłam cię uprzedzić, że wpadnę dzisiaj.

Mówiąc to zerknęła w głąb kuchenki. W fotelu koło pieca zobaczyła osobę, której twarz była jej znajoma. Przez moment nie mogła uwierzyć w to, co widzi. I dopiero, gdy dama wstała i wyciągnęła do niej rękę, Salrina zawołała ze zdziwieniem:

- Czy to naprawdę ty?

- Mogłabym cię zapytać o to samo - brzmiała odpowiedź.
- Wyobraź sobie, że właśnie usiłowałam zebrać się na odwagę, aby złożyć wam wizytę.

Salrina ucałowała atrakcyjną i bardzo pięknie ubraną kobietę wykrzykując:

- Rosemary, naprawdę z trudnością cię poznałam! Pomyślała jednocześnie, że ani jej ojciec, ani mieszkańcy wsi również nie poznaliby córki swojego proboszcza po ośmiu latach, kiedy to wyjechała na północ Anglii.

Rosemary Allen, zdaniem matki Salriny, była przykładem dziewczyny, która pogrzebała swoje szanse na małżeństwo poświęcając się całkowicie opiece nad chorą, kłótliwą i rozkapryszoną matką.

Jej ojciec, proboszcz, był czarującym człowiekiem, najmłodszym synem baroneta, który zgodnie z tradycją przeznaczył najstarszemu synowi karierę wojskową, średniemu służbę w marynarce, a najmłodszego skierował do służby kościołowi. Wielebny Daniel Allen poślubił kobietę z dobrej rodziny, ale zupełnie nie nadającą się na żonę pastora.

Nie cierpiała ludzi, dla których jej mąż pracował, i marzyła o życiu towarzyskim, jakiego nie było w małej wiosce jego parafii. Zdecydowała się więc spędzać większość czasu w łóżku, a jej jedyna córka została zepchnięta do roli nie docenionej i bezpłatnej służącej. Rosemary spełniała przy swej matce wszelkie posługi i nie miała żadnych szans na rozrywki w gronie rówieśników.

Tylko lady Milborne próbowała ulżyć trochę jej losowi i wyrwać ją choć na parę godzin z codziennej domowej udręki. Zaproponowała mianowicie, aby udzielała lekcji Salrinie. Był to gest litości, ale ponieważ Rosemary miała wtedy osiemnaście lat i była bardzo inteligentna, Salrina polubiła te lekcje i odniosła z nich wiele pożytku.

Upływały lata i kiedy Rosemary, osiągnąwszy wiek dwudziestu sześciu lat, stała się według miejscowej opinii starą panną, zdarzył się cud.

Daleki krewny jej ojca złożył im nieoczekiwanie wizytę i choć był o wiele starszy od Rosemary, zakochał się w niej, oświadczył i został przyjęty. Ponieważ zależało mu na szybkim powrocie do Northumberland, gdzie mieszkał, wzięli cichy ślub w wiejskim kościele, a jedyną druhną była Salrina.

Potem Rosemary zaszyła się na północy Anglii i choć pisała do domu, a Salrinie przysyłała upominki na Boże Narodzenie i urodziny, od dnia jej ślubu nigdy się nie spotkały.

A teraz Salrinie trudno było uwierzyć, że dawna przyjaciółka rozkwitła i przeistoczyła się w kogoś tak uroczego i eleganckiego. Wśród okrzyków radości z niespodziewanego spotkania, słysząc, że Rosemary jedzie z wizytą na probostwo do swego ojca, Salrina wpadła na pomysł.

- Słuchaj, Mabel - powiedziała - czy nie obrazisz się, gdy porozmawiam przez chwilę z panią Whitbread na osobności? Muszę jej powiedzieć coś, co jest sprawą rodzinną.

- Ależ nie, panienko - odparła Mabel - idźcie obydwie do pokoju, a ja wam zrobię dobrej herbaty. - Wspaniale - rzekła Rosemary.

Szeleszcząc kosztowną suknią poszła z Salrina do saloniku, ozdobionego - pamiątkami z całego życia Mabel.

- Och, Salrino - rzekła Rosemary, siadając - tak się cieszę, że cię spotkałam! Ale po co tu przyjechałaś konno, tak daleko i to sama?

- Posłuchaj, Rosemary, mam mało czasu, a muszę ci powiedzieć, że znalazłam się w trudnej sytuacji i potrzebuję twojej pomocy.

- Kochanie, co się stało? Oczywiście, że zrobię, co będę mogła, aby ci pomóc.

W pośpiechu, bo bała się, że hrabia i lord Charles nadjadą, Salrina opowiedziała jej, co się wydarzyło, a Rosemary słuchała otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

- Czy to możliwe? - spytała, wysłuchawszy całej historii.
- Och, Salrino, jakie to okropne dla ciebie.

- Ale czy przyznajesz, że to konieczne, abym z nimi pojechała? Tylko, Rosemary, oni nie wiedzą, kim jestem; ojciec kazał mi ukrywać moje nazwisko, ponieważ jechałam konno, sama jedna. Powiedziałam, że nazywam się Milton, więc nie mogę pozwolić hrabiemu, żeby wysłał do ojca stajennego z wyjaśnieniem, dlaczego nie wracam.

- I chcesz, żebym to ja zrobiła? - spytała szybko Rosemary.

- Proszę cię! Zrobisz to? I jeśli możesz, zostań z nim, aby go rozerwać. Jest taki nieszczęśliwy i na pewno będzie się czuł fatalnie bez towarzystwa wieczorem przy kolacji, a jutro też czeka go samotność.

- Zrobię wszystko, o co mnie prosisz - rzekła miękko Rosemary - ale, Salrino, chodzi o ciebie. Czy ty będziesz bezpieczna?

- Oczywiście, że tak - zapewniła Salrina. - A gdy tylko rozpoznam tego Francuza, poproszę hrabiego, żeby odesłał mnie do domu.

- Nie jestem pewna, czy powinnam pozwolić ci jechać - rzekła Rosemary z wahaniem - ale ponieważ będziesz w towarzystwie dwóch dżentelmenów, nie doznasz chyba żadnej krzywdy. Niemniej jednak wątpię, czy twoja matka pochwaliłaby to wszystko. .

- A jaka krzywda może mi się stać? - spytała naiwnie Salrina.

Rosemary już otworzyła usta, żeby jej odpowiedzieć, lecz po namyśle zmilczała. Słyszała wiele o reputacji hrabiego, ale doszła do wniosku, że jest przedmiotem uwielbienia zbyt wielu kobiet, żeby zainteresować się kimś tak młodym i prostym jak Salrina. Była wprawdzie piękna dzięki podobieństwu do lady Milborne, jednej z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek istniały, ale z włosami nieporządnie ułożonymi, w znoszonym i niemodnym stroju do konnej jazdy i w zdefasonowanym cylinderku miała mało szans, aby zwrócić na siebie uwagę człowieka tak wybrednego jak hrabia Fleetwood.

- Musisz mi obiecać - powiedziała Rosemary z powagą - że wrócisz do domu natychmiast po zidentyfikowaniu zabójcy i że śpiąc w domu hrabiego, zamkniesz się na klucz.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

Rosemary pomyślała szybko i odparła:

- A gdyby Francuz żałował, że cię nie zabił, gdy miał okazję?

Salrina zadrżała.

- Oczywiście! Może się obawiać, że mu przeszkodzę w dokonaniu tego, co zamierza zrobić jutro wieczorem. Koniec końców poza tym Anglikiem jestem jedyną osobą w Anglii, która wie, jak on wygląda.

- Właśnie! - zgodziła się Rosemary. - Musisz zamknąć drzwi, Salrino, kochanie, a ja zapewnię twego ojca, że wrócisz najszybciej, jak to będzie możliwe.

- Naturalnie, że wrócę szybko. Nie powiem hrabiemu, kim jestem, lecz każę się odwieźć tutaj, żeby zabrać Jupitera.

- Doskonale. Widzę, że jesteś rozsądna. Mnie pozostaje zrobić wszystko, żeby ojciec nie martwił się o ciebie, a ty przygotuj Mabel na to, że jesteś teraz panną Milton.

- To będzie najtrudniejsze ze wszystkiego - zauważyła Salrina z uśmiechem. - Wiemy obie, że Mabel lubi ploteczki.

- Jeśli jej powiesz, że jest niezwykle ważne, aby nie wydała sekretu, będzie przynajmniej próbowała dotrzymać słowa. - Mówiąc to Rosemary wstała, ucałowała Salrinę i dodała:

- Zaopiekuję się twoim ojcem. Myślę, że będzie interesujące zobaczyć go po tylu latach.

- Zdziwi się, gdy cię zobaczy - odparła Salrina. - Jak ty to robisz, że jesteś tak elegancka i ładna?

- Można to ująć krótko: pieniądze. A poza tym po raz pierwszy w życiu mogę myśleć o sobie.

Salrina przyjrzała się jej ze zrozumieniem i rzekła:

- Rosemary, odnoszę wrażenie, że nie byłaś bardzo szczęśliwa w małżeństwie.

- Nie chcę o tym mówić - powiedziała Rosemary cichym głosem - ale w gruncie rzeczy zamieniłam jeden rodzaj udreki, z moją matką, na inny, z moim mężem. Był stary, niesympatyczny i bardzo, bardzo dokuczliwy.

- Och, Rosemary, jak mi przykro!

- Jestem wdową od osiemnastu miesięcy... I to takie wspaniałe, Salrino, że jestem bogata! Nigdy nie przypuszczałam, że mi się to kiedykolwiek przydarzy.

Salrina zarzuciła jej ręce na szyję i ucałowała gorąco.

- Tak się cieszę, Rosemary! Jeśli ktoś zasłużył na szczęście, to na pewno ty. Nigdy nie myślałaś o sobie, zawsze o innych.

Rosemary roześmiała się.

- A teraz staram się być wielką egoistką i właściwie wstydzę się, że do tej pory nie odwiedziłam swego ojca. Lecz on zawsze pisze, że mu jest dobrze, i wygląda na to, iż się obawia, żebym nie wniosła zamętu w jego doskonale ułożone życie.

- Chyba masz rację - rzekła Salrina. - Więc bądź tak dobra i zostań dziś, jeśli możesz, z moim tatą, najlepiej aż do mojego powrotu.

- A może twój ojciec nie będzie tego chciał? Salrina roześmiała się.

- Na pewno będzie zachwycony twoją wizytą - rzekła poważnie. - Miał dla ciebie wiele sympatii, gdy przychodziłaś mnie uczyć, a mama ubolewała, że masz takie smutne życie. Jestem pewna, że i ona szczerze by się ucieszyła ze zmiany twojej sytuacji.

Rosemary nic nie mówiąc ucałowała ją w policzek i powiedziała:

- Muszę już jechać. Lepiej, żeby twój hrabia mnie tutaj nie spotkał.

- On nie jest moim hrabią - odparła ostro Salrina. - I jeśli chcesz znać prawdę, zrobił na mnie wrażenie człowieka bardzo niesympatycznego, despotycznego i zarozumiałego. Takiego, który myśli tylko o sobie.

- Z tego, co słyszałam, inne kobiety oceniają go zupełnie inaczej - rzekła Rosemary i, wciąż niespokojna o Salrinę,

przypomniała raz jeszcze: - Pamiętaj, o co cię prosiłam, i wracaj szybko do domu.

Salrina skinęła głową.

Zaraz potem Rosemary odjechała, a Salrina poszła do kuchni i usiłowała przekonać Mabel, jakie to ważne, żeby ani hrabia, ani lord Charles nie poznali jej prawdziwego nazwiska. Właśnie zdążyła opowiedzieć, jak jej ojciec, mając chorą nogę, zezwolił na to, aby sama pojechała do pana Carstairsa odprowadzić konia, jak uważał to za bardzo szkodliwe dla jej reputacji i jak przykazał jej ukrywać swoje nazwisko, gdy usłyszała turkot kół przed domem.

Wyjrawszy przez okno ujrzała hrabiego w eleganckim powozie zaprzęgniętym w czwórkę wspaniale dobranych koni.

- Muszę już jechać, Mabel - rzekła wstając, ale obiecuj mi, że powiesz każdemu, kto cię o to spyta, iż nazywam się Milton.

- Oczywiście, kochanie. Jeśli mnie zapytają, tak właśnie powiem. A twój ojciec ma rację: nie powinnaś się uganiać po całym hrabstwie bez opieki.

- No, teraz już mam dostateczną opiekę - roześmiała się Salrina i wyszła przed dom. W drzwiach jeszcze raz odwróciła się i pocałowała starą kobietę.

- Dbaj o siebie, Mabel. Niedługo przyjadę znów z wizytą, a ojciec z pewnością odwiedzi cię razem ze mną.

- Wiesz dobrze, że zawsze chętnie zobaczę twego ojca. To najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałam, nie wyłączając jego lordowskiej mości.

Powiedziała to po cichu, aby hrabia nie dosłyszał, a Salrina nie mogła powstrzymać uśmiechu i znów dołeczki ukazały się na jej policzkach, gdy spieszyła do czekającego na nią powozu. Po drodze poklepała Jupitera, którego właśnie przyprowadzono z miejsca, gdzie pał się na trawie. Chłopak stajenny miał pojechać na nim z powrotem do stajni hrabiego.

- Zachowuj się grzecznie - upominała konia. - Na pewno będzie ci dobrze w tym luksusowym otoczeniu.

Stajenny uśmiechnął się porozumiewawczo:

- Będzie mu dobrze, proszę pani.

- Jestem tego pewna - powiedziała Salrina i podeszła do powozu, gdzie lord Charles czekał, aby jej pomóc wsiąść. Zajęła miejsce między nim a hrabią. Było im trochę ciasno, bo siedzenie faetonu przewidziane było na dwie osoby.

- Czy obawia się pani, że jej koniowi nie będzie dość dobrze w moich stajniach i że odczuje pani nieobecność? - spytał hrabia.

Salrina nie była pewna, czy mówi poważnie, czy żartuje sobie z niej, więc odpowiedziała:

- Pańskie stajnie są o wiele bardziej luksusowe od wszystkiego, co dotychczas znał. Mimo to, ponieważ należy do mnie i jest dla mnie czymś wyjątkowym, nie chciałabym, żeby myślał, iż go opuściłam.

Odjechali sprzed domu Mabel, która stojąc w drzwiach machała ręką na pożegnanie.

- Jak to się stało, że zna pani kogoś, kto mieszka w mojej wsi?

- Sądzę, że wie pan, iż pani Green prowadziła sklep. Gdy przestała pracować, przejął go jej syn, który przedtem pracował u pana, milordzie.

- Nie wiem ani tego, ani że osoba mieszkająca w tym ładnym domku nazywa się Green - powiedział sucho hrabia.

Salrina popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Myślałam, że zna pan nazwiska swoich dzierżawców, a szczególnie tych, którzy mieszkają tak blisko pana domu.

- Przypuszczam, że moja matka знаła ich wszystkich - rzekł hrabia - ale muszę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, że przez te kilka lat, kiedy byłem za

granicą, wielu z nich umarło lub przybyli nowi, jak pani znajoma.

Mówił, jakby się bronił czując, że ona go oskarża o brak zainteresowania ludźmi. To właśnie Salrina miała na myśli, choćby dlatego, że nigdy nie zapraszał jej ojca ani żadnego z sąsiadów na swoje konne wyścigi na przełaj. Nie musiał tego robić, oczywiście, ale Salrina była pewna, że gdyby jej rodzice byli na miejscu hrabiego, znalazłby wszystkich sąsiadów, biednych czy bogatych, i służyliby im wszelką pomocą w miarę swoich możliwości.

Zaskoczyło ją, gdy hrabia rzekł:

- Mam wrażenie, panno Milton, że pani mnie krytykuje.

Nie posądzała go a taką spostrzegawczość. Obróciła się, by spojrzeć na niego oczami, które wydawały się olbrzymie w tak drobnej twarzyczce.

Powiedziała zakłopotana:

- Nie wiem, dlaczego pan tak myśli, milordzie.

- Co prawda i ja nie wiem - zauważył hrabia - i tym bardziej mnie to dziwi.

Rozdział 5

Jechali już jakiś czas, gdy hrabia zauważył:

- Będziemy musieli wymyślić jakąś prawdopodobną historię wyjaśniającą, dlaczego panna Milton przyjeżdża do Londynu bez bagażu.

Gdy to mówił, Salrina drgnęła, przypomniawszy sobie, że w pośpiechu zapomniała o swoich osobistych rzeczach przytroczonych do siodła Jupitera. Już miała się do tego przyznać, ale doszła do wniosku, że lepiej nie komplikować sprawy. Jedna koszula nocna i szczotka do włosów nic nie znaczą wobec faktu, że obecnie potrzebuje tak wielu innych rzeczy.

- Tak, masz rację - powiedział lord Charles. - Twoja siostra wyjechała, więc może powiemy, że panna Milton jest jej przyjaciółką, którą zaprosiłeś na jej życzenie i która w podróży straciła swój bagaż.

- Charles, jesteś genialny. Ta historia brzmi bardzo prawdopodobnie i moja służba nie będzie zdziwiona, że panna Milton przyjechała z nami.

Salrina nie odzywała się; najlepiej będzie, jeśli rozwiążą ten problem sami.

Dotarli do Londynu nie pobiwszy żadnego rekordu. Jazda trwała o pięć minut dłużej, niż wynosił ostatni wynik hrabiego.

Ponieważ wysłano wcześniej stajennego z wieścią o przyjeździe, gdy podjechali pod dom na Berkeley Square, czerwony chodnik był gotowy do rozwinięcia przed nimi na bruku, a majordomus w otoczeniu młodszych lokai czekał w hallu.

- Dobry wieczór, milordzie - powitał go z szacunkiem Bateson. - Mam nadzieję, że miał pan przyjemną podróż.

- Znośną - odparł hrabia. - Chcę mówić z panią Freeman.

- Tak jest, milordzie. W bibliotece podano szampana i kanapki z pasztetem, ale może młoda dama wolałaby herbatę?

- Och, marzę o filiżance herbaty!

- A więc herbata, Bateson - polecił hrabia, a służący pospieszył otworzyć przed nimi drzwi do biblioteki.

Był to bardzo miły pokój, choć nie tak wielki jak biblioteka w pałacu Fleet. Salrina jednak rozejrzawszy się doszła do wniosku, że byłoby rozkoszą nie do opisania móc przejrzeć wszystkie zgromadzone tu książki.

Otworzyły się drzwi i sekretarz hrabiego, pan Stevenson, wszedł do pokoju.

- Cieszę się, że pan wrócił, milordzie - powiedział zafrasowany. - Prawdę mówiąc wysłałem rano stajennego, aby przypomnieć panu, że jego książęca mość liczy na pana i lorda Charlesa na obiedzie jutro wieczorem. Przyszła wiadomość, że jest pan oczekiwany, nawet gdyby przebywał pan na wsi.

Hrabia spojrzał na lorda Charlesa i roześmiał się.

- To było chyba jasnovidzenie, Charles, gdy mówiliśmy, że Książętko nie obejdzie się bez nas,

- Niewątpliwie tak - potwierdził lord Charles.

- Wyślij wiadomość do jego książęcej mości - zwrócił się hrabia do swego sekretarza - że właśnie wróciliśmy i z przyjemnością stawimy się w pałacu jutro wieczorem. Poinformuj go ponadto, że chciałbym mu jutro rano złożyć uszanowanie.

Pan Stevenson wyszedł, a lord Charles spytał:

- Czy zamierzasz go poinformować, że szykują się, aby go zamordować z zimną krwią?

- Nie, oczywiście, że nie - ostro zaprotestował hrabia. - Najprawdopodobniej bardzo by się zdenerwował i odwołał przyjęcie. A w rezultacie morderca spróbowałby dokonać dzieła innym razem. Nie, będę starał się zaskarbić sobie łaski jego książęcej mości, poproszę o pozwolenie przyprowadzenia

panny Milton jako dodatkowego gościa, i porozmawiam z generałem Jak - mu - tam, który odpowiada za bezpieczeństwo księcia.

- Nie miałbym zaufania do niego, może położyć całą sprawę - zaproponował lord Charles.

- Ani ja - zgodził się hrabia - i dlatego sędzę, że powinniśmy we dwójkę ułożyć nasz własny plan oraz zapewnić sobie pomoc jednego czy dwóch bardziej godnych zaufania adiutantów, włączając ich do naszego spisku.

- A ponieważ nic nie cieszy cię bardziej niż komenderowanie nami, zwykłymi śmiertelnikami - zauważył złośliwie lord Charles - zostawiam wszystko w twoich zdolnych rękach.

- Zupełnie słusznie - brzmiała odpowiedź hrabiego. Znów otworzyły się drzwi i weszła kobieta w średnim wieku, ubrana w czarną, szeleszczącą jedwabną suknię ze srebrnym łańcuchem, zwisającym przy pasku, symbolem jej stanowiska gospodyni. Dygnęła przed hrabią, mówiąc:

- Pan mnie wzywał, milordzie.

- Tak, w istocie - powiedział hrabia. - Lord Charles i ja przywieźliśmy ze wsi przyjaciółkę lady Karoliny, mojej siostry. Przyjechała z Irlandii, żeby uczestniczyć w uroczystym obiedzie w pałacu Carlton jutro wieczorem.

Pani Freeman skłoniła się lekko w kierunku Salriny, a hrabia mówił dalej:

- Niestety, choć wszystkiego się można spodziewać, gdy się korzysta z irlandzkich statków, jej bagaż zaginął w podróży i w rezultacie nie ma ubrania poza tym, co na sobie.

- Boże święty, to zupełna katastrofa! - wykrzyknęła pani Freeman.

- A ponieważ brak czasu, aby panna Milton kupiła sobie jakąś garderobę, a zwłaszcza coś odpowiedniego na jutrzejszy wieczór - ciągnął hrabia. - musi pożyczyć jedną z toalet mojej

siostry, których ona nie zdołała zabrać ze sobą. Jestem pewien, że będzie w czym wybierać.

Pani Freeman uśmiechnęła się.

- To prawda, milordzie. W istocie, zastanawiałam się po wyjeździe milady, gdzie powieszę tak wiele sukien. Gdyby milord zaprosił większą liczbę gości, mielibyśmy kłopot ze znalezieniem pomieszczeń dla ich garderoby.

- W tej chwili jest tylko jeden gość. Proszę go wziąć pod opiekę, pani Freeman, i zaopatrzyć we wszystko, czego potrzebuje, dopóki bagaż pani nie nadejdzie - polecił hrabia.

- Zrobię wszystko, co trzeba, milordzie - odparła pani Freeman. - Może młoda dama chciałaby pójść ze mną teraz na górę i odświeżyć się przed podwieczorkiem? Wiem, jak wasza lordowska mość pędzi tymi nowoczesnymi powozami na wielkich kołach!

W głosie pani Freeman dzwięczała nuta wyrzutu, ale hrabia tylko się śmiał.

- Proszę iść z panią Freeman, panno Milton - rzekł. - Podwieczorek będzie podany, gdy pani zejdzie.

Ponieważ Salrina czuła, że w podróży pęd powietrza potargał jej włosy, a w tym luksusowym otoczeniu jej strój wydawał się jeszcze starszy i bardziej znoszony, była gotowa przebrać się w cokolwiek, co należało do siostry hrabiego, byle tylko pasowało na nią.

W czasie jazdy dowiedziała się od lorda Charlesa, który uznał za istotne, aby wiedziała co nieco o swojej rzekomej przyjaciółce, że siostra hrabiego nazywa się lady Karolina Forsythe. Jej mąż służył w pułku grenadierów w stopniu pułkownika, choć był tylko rok starszy od swego szwagra.

- Ile lat ma lady Karolina? - spytała Salrina, czując, że był to szczegół, który powinna znać.

- Dwadzieścia siedem lub osiem - odpowiedział lord Charles z wahaniem. - Jest bardzo atrakcyjna, choć trudno ją uznać za klasyczną piękność.

Salrina pomyślała, że hrabia, choć czasem nieprzyjemny, był niewątpliwie najprzystojniejszym mężczyzną, jakiegokolwiek widziała, i z trudem mogła sobie wyobrazić, że ktoś z jego rodziny nie dorównuje mu urodą. Ale słuchała słów lorda Charlesa, nie robiąc żadnych uwag.

Gdy pani Freeman wprowadziła ją do pięknej sypialni z oknami wychodzącymi na Berkeley Square, zdjęła kapelusz i zobaczyła w lustrze, jak bardzo potargane ma włosy.

- Wyglądam jak straszidło - rzekła głośno.

- Niech się panienka nie martwi - pocieszyła ją pani Freeman. - Lady Karolina ma doskonałego fryzjera, który przyjdzie do pani jutro rano i oczywiście uczesze też panią na wieczór. Proszę mi wybaczyć, że ośmielam się coś sugerować: radzę pani rozebrać się teraz i odpocząć trochę, zanim przygotuję kąpiel. Potem będzie czas zejść na kolację. Znajdę pani coś wygodnego i ładnego do włożenia na dzisiaj. Jutro pomyślimy o poprawkach, jakie trzeba będzie zrobić w sukni, którą pani wybierze na wieczór.

Salrina uznała w duchu, że to dobry plan, ale głośno powiedziała:

- Jego lordowska mość kazał mi podać herbatę na dole.

- Zawiadomię, że pani woli, aby ją przyniesiono tu, na górę - powiedziała pani Freeman i pociągnęła za sznur dzwonka zawieszzonego obok łoża z baldachimem.

Kiedy Salrina obudziła się i otworzyła oczy, zdawało jej się, że śni w dalszym ciągu. Oczekiwała, że wszystko, co się zdarzyło, okaże się iluzją. Tymczasem światło słoneczne wpadające przez szpary w brokatowych zasłonach ukazywało lustro w złoczonej rzeźbionej ramie na toalecie oraz koronkowe poduszki na szezlongu, na którym spoczywała przed kąpielą.

Dwie pokojówki w wykrochmalonych czepkach i fartuszkach wносиły okrągłą wannę. Ustawiły ją przed kominkiem, przyniosły konewki z gorącą i zimną wodą, pachnącą werbeną, oraz turecki ręcznik kąpielowy miękki i puszysty jak obłok. Wszystko to nie przypominało ani trochę jej domowej kąpieli i było czystą rozkoszą. Wiedziała, że dla hrabiego były to rzeczy zwyczajne i nie zdawał on sobie sprawy, co znaczyły dla kogoś, kto nigdy przedtem nie zaznał takich luksusów. Gdy się wykapała, pani Freeman przyniosła jej bieliznę piękną jak marzenie. Nie było tego dużo, bo wszystkie damy miały ambicje wyglądać szczupło jak nimfy, a suknie szyto bardzo wąskie.

- Lady Karolina jest szczupła - rzekła pani Freeman - ale widzę, że jej suknie będą musiały być jeszcze zwężone dla pani.

Salrina popatrzyła na nią niepewnie.

- Może lady Karolinie nie będzie się podobało, że pozweżano jej suknie, choćby to zrobiono bardzo ładnie.

- Jestem pewna, że tylko się ucieszy, że pani pożyczyła sobie coś z jej rzeczy. I nie zdziwiłabym się, gdyby po powrocie uznała, że nic z tego nie będzie jej potrzebne, i kupiła wszystko nowe.

Uspokojona tą uwagą Salrina nie protestowała, gdy pani Freeman wezwała do pomocy domową szwaczkę. Polecono jej, aby wszystkie suknie, które Salrina będzie nosiła następnego dnia, zostały zwężone półtora cala w talii i biuście. Następnie pani Freeman zaprezentowała Salrinie piękną suknię z błękitnego muślinu, którą, jak powiedziała, lady Karolina kupiła przez pomyłkę, gdyż była dla niej wyraźnie „zbyt młoda”.

- Prawdę mówiąc, panienko, lady Karolina miała ją na sobie tylko raz. Jest okropnie rozrzutna, jeśli chodzi o stroje.

No, ale ma opinię wielkiej elegantki, a ja zawsze mówię, że nie można zrobić omletu bez tłuczenia jaj.

Salrina roześmiała się.

Gdy jedna z pokojówek uczesała jej włosy według najnowszej mody i wpięła dwie białe róże w loki po obu stronach twarzy, Salrina pomyślała, że nawet jej własny ojciec z trudem by ją poznał.

- Dziękuję pani, dziękuję bardzo - zwróciła się do pani Freeman. A potem bojąc się, że się spóźni na kolację i rozgniewa hrabiego, zbiegła ze schodów i weszła do biblioteki, gdzie się mieli spotkać.

Jeżeli hrabia w swoim podróżnym stroju wydawał się elegancki, to teraz, przebrany do kolacji, był niezwykle wytworny, podobnie jak jego przyjaciel, lord Charles. Ponieważ była to nieoficjalna kolacja w domu, nie nosił krótkich aksamitnych spodni do kolan, lecz długie, wąskie jak rurki, wprowadzone w modę przez księcia regenta.

Obaj obserwowali zbliżającą się Salrinę, a kiedy skłoniła się lekko przed hrabią, ten rzekł:

- Cieszę się widząc, że garderoba mojej siostry przydała się na coś.

- Jestem bardzo wdzięczna - odparła Salrina - i bardzo, bardzo podekscytowana. Nigdy przedtem nie miałam tak pięknej sukienki i, prawdę mówiąc, nie spałam w tak pięknym pokoju.

Hrabia uśmiechnął się.

- Przypuszczam, że gdyby pani pozostała w nim dłużej, znalazłaby pani w nim jakieś wady i znudziła się szybko.

- Nigdy w życiu! - zaperzyła się Salrina. - Mój ojciec zawsze twierdzi, że jeśli ludzie się nudzą, to znaczy, że nie myślą.

Zauważyła błysk wesołości w oczach lorda Charlesa, który zwrócił się do hrabiego, mówiąc cicho: - Prawda płynie z ust niewinnego dziecka...

- Ojciec pani musi być szczęśliwym człowiekiem, jeśli uznaje, że życie jest zabawne - zauważył hrabia. - Czym się zajmuje?

Salrina zastanawiała się pospiesznie, co odpowiedzieć, nie wyjawiając nic istotnego o sobie, i w końcu powiedziała wymijająco:

- Ojciec kocha wieś i jeśli mam być szczerą, to uważam, że nie miejsca są nudne, lecz ludzie.

- Otóż to, Alaric - kpił lord Charles. - Zawsze ci mówiłem, że to właśnie ludzie, z którymi przebywamy, sprawiają, że ziewasz.

- Zamilcz, Charles - odparł hrabia. - Nie mam ochoty słuchać twoich wykładów.

- Sam to stwierdziłeś - dowodził lord Charles. - Przypomniałeś mi, że w Portugalii nigdy się nie nudziłem.

- Czy panowie brali udział w kampanii na Półwyspie Pirenejskim? - spytała Salrina. - Musiało tam być bardzo ciężko. I z pewnością można się było bać, ale nigdy nudzić.

- Ma pani rację - zgodził się lord Charles. - Właśnie o tym rozmawialiśmy z hrabią, gdy wspomniał, że znudził go Londyn. A teraz pani, jak wróżka, odpędziła od niego nudę swoimi czarami.

Salrina poczuła się zakłopotana, a hrabia rzekł:

- Właściwie to prawda. W tej chwili nie mamy czasu na nudę, lecz musimy wysilić nasze mózgi i nie dopuścić, aby Francuz odniósł zwycięstwo, które odbiłoby się echem w całej Europie.

Mówił z powagą, a Salrina po raz pierwszy pomyślała, że uwierzył w jej historię i nie podejrzewa już, iż był to pretekst, aby otrzymać zaproszenie do pałacu Carlton. Ciągle jeszcze

nie mogła otrząsnąć się z szoku, wywołanego posądzeniem o taki postępek. Po chwili uświadomiła sobie, że gdyby była debiutantką stawiającą pierwsze kroki w eleganckim świecie, z przyjemnością czekałaby na obejrzenie wnętrza tego pałacu, o którym tyle mówiono i pisano. Najczęściej zresztą krytycznie z powodu wielkich sum, jakie pochłaniało jego upiększanie.

Hrabia, jakby czytając w jej myślach, oznajmił:

- Tak, jutro wieczorem wejdzie pani do pałacu Carlton, ale jako osoba rozsądna nie będzie pani chyba z tego powodu zdenerwowana, a już na pewno nie znudzona.

- Będę się na pewno bała, żeby nie popełnić jakiegoś błędu. Co by było na przykład, gdybym wskazała na niewłaściwego człowieka, a po aresztowaniu okazałby się on niewinny?

Nikt się nie odezwał, więc mówiła dalej:

- Albo, co gorsza, gdybym nie potrafiła zidentyfikować Francuza?

Ale mówiąc te słowa, czuła, że to niemożliwe. Każdy, szczególnie jego osoby wbił się jej w pamięć i gdy zamykała oczy, widziała jego twarz tak wyraźnie, jak wtedy, gdy patrzyła na niego przez szparę w ścianie.

- Niech się pani tym nie zamartwia, przynajmniej dzisiaj - rzekł hrabia łagodnie. - Zaraz powinni podać kolację.

Spojrzał na zegar stojący na kominku i w tym momencie Bateson otworzył drzwi:

- Podano kolację, milordzie - oznajmił.

- Punktualnie co do minuty - powiedział lord Charles. - Alaric, twój dom jest prowadzony idealnie. Nie sposób znaleźć w nim jakieś niedociągnięcie.

Hrabia nie odpowiedział, tylko podał ramię Salrinie, która przypominała sobie opowiadania matki, że tak panie i panowie w wielkich domach wkraczają do sali jadalnej.

U nich w domu matka często sama zajmowała się gotowaniem, bo chciała przygotować potrawy, które ojciec lubił najbardziej, a gdy już były gotowe, mówiła do Salriny:

- Biegnij, sprowadź tatusia jak najprędzej. Suflet będzie gotowy za dwie minuty. Nie zniosłabym, gdyby opadł.

Salrina biegła wówczas korytarzem i gdy znalazła ojca, ciągnęła go za rękę do jadalni.

Pamiętała z dawnych czasów, że ich posiłki, choć skromne, jedzone były wśród żartów i śmiechu. Lecz gdy matka umarła, ojciec siadywał na końcu stołu, grzebiąc niechętnie w talerzu, i mówił, że nie jest głodny, chociaż Salrina i niania dokładały wszelkich starań, aby przygotować mu coś, co lubił.

Siedząc w eleganckiej jadalni przy stole o lśniącym blacie nie przykrytym obrusem (modę tę, jak jej mówiono, wprowadził książę regent), Salrina wiedziała, że ten posiłek całkowicie różni się od wszystkich, które kiedykolwiek spożyła. I to nie tylko dlatego, że składał się z wykwinnych potraw, a kilku z nich nie umiała nawet nazwać, ale również dlatego, że miała okazję słuchać rozmowy dwóch przystojnych, atrakcyjnych mężczyzn, rozmowy, która przypominała raczej pojedynek słowny i kipiała żartami.

Lord Charles atakował hrabiego, który odpowiadał mu ciętymi ripostami. Potwierdzało to wcześniejsze spostrzeżenie Salriny, że był niezwykle bystry. Może dlatego tak często się nudzi, myślała, że większość ludzi z jego otoczenia nie dorównuje mu inteligencją.

Przypomniała sobie słowa swojej matki:

- Mężczyzn pociąga ładna buzia, kochanie, ale żeby pokochać kobietę, potrzebują czegoś więcej niż urody.

- To znaczy czego? - pytała Salrina, wówczas jeszcze bardzo młoda.

- Aby uszczęśliwić mężczyznę, kobieta musi kochać go, być czulą i umieć z nim współczuć. Powinna też poruszać jego umysł, pobudzać go do działania i być dla niego interesująca. Ale przede wszystkim powinna go inspirować, aby nie marnował swoich zdolności i sięgał aż do gwiazd.

Tu jej matka westchnęła i dodała:

- Czasem gwiazdy są poza naszym zasięgiem, ale zarówno kobiety, jak i mężczyźni ciągle do nich dążą.

W owym czasie Salrina nie całkiem rozumiała znaczenie jej słów, ale później, gdy czytała książki, wybierane dla niej przez matkę, i studiowała przedmioty, które według matki powinny ją interesować i rozwijać, zaczęła lepiej pojmować ich sens.

Słuchała często, jak jej rodzice dyskutowali o sytuacji międzynarodowej, o zwyczajach innych narodów, o sprawach nie mających żadnego związku z ich codziennym życiem. I rozumiała, że w ten sposób matka pobudzała ciekawość ojca do spraw, które choć nie były częścią ich egzystencji, to jednak pozostawały w sferze jego zainteresowań, nawet gdy nie stać go było na podróże.

- Jest pani bardzo cicha, panno Milton - zwrócił się do niej hrabia pod koniec kolacji, w czasie której on i lord Charles rozmawiali z wielkim ożywieniem.

- Przysłuchuję się - odparła Salrina - i mogę powiedzieć, że chyba żadna sztuka w teatrze nie byłaby dla mnie tak ciekawa i zabawna.

Hrabia przyglądał się jej przez chwilę, a potem rzekł:

- Myślę, Charles, że tak szczerego komplementu i pochlebnej opinii już nigdy nie usłyszymy.

Salrina zaczerwieniła się.

- Nie miałam zamiaru pochlebiać panu, milordzie. Ale prawdą jest, że panowie rozmawiali w sposób, w jaki zawsze według moich oczekiwań powinni rozmawiać inteligentni

mężczyźni; nie spodziewałam się jednak, że będę miała okazję tego posłuchać.

- To ciekawe, co pani mówi - rzekł hrabia. - Ale niech mi pani powie, dlaczego pani myślała, że inteligentni mężczyźni tak rozmawiają?

Salrina odrzekła z uśmiechem: - Czytałam salonowe komedie z okresu restauracji, milordzie.

- No tak, naturalnie. Uważaj, Charles, musimy w przyszłości starać się, aby sprostać dobrej opinii o nas.

Myślę, że popełniłeś duży błąd, nie angażując panny Milton do twoich amatorskich przedstawień. Musisz to kiedyś zrobić. Salrina wykrzyknęła:

- Ach, nie, proszę!... Ja się świetnie czuję jako widz. Pamiętam, jak mama mówiła: „Jeśli chce się wydać udane przyjęcie i zaprasza się jakieś znakomitości, to trzeba też zaprosić dostateczną liczbę ich wielbicieli, aby tamci czuli, że są ośrodkiem zainteresowania”.

Obaj panowie roześmieli się. Kolacja już się skończyła i wstali od stołu, choć Salrina zaproponowała, że przejdzie do biblioteki, a panów zostawi przy winie.

- Wydaje mi się, panno Milton, że jest pani pod wrażeniem moich książek - rzekł hrabia.

- Myślałam sobie, milordzie, że gdybym mogła siedzieć tu i czytać je wszystkie po kolei, czułabym się jak w niebie. Ale jeszcze lepiej byłoby zacząć od pańskiej biblioteki na wsi.

Nie zauważyła, że jej słowa wywołały wesoły uśmiech na twarzy hrabiego, bo rozglądała się po pokoju, odczytywała tytuły na okładkach książek i zastanawiała się, którą by wybrała, gdyby miała szansę to zrobić.

Wieczór, przynajmniej dla niej, skończył się zbyt szybko, bo hrabia zauważył, że ponieważ mieli męczący dzień, a jutro będą mieć pewnie trudny i bardzo nerwowy wieczór, powinni iść wcześniej do łóżek.

Gdy Salrina pożegnała się z panami i szła w kierunku schodów, eskortowana przez lorda Charlesa, przemknęło jej przez myśl, czy dwaj dżentelmeni nie zamierzają wyjść do miasta w poszukiwaniu jakiejś rozrywki po nudnym, jak sądziła, wieczorze w jej towarzystwie.

Było to nieprzyjemne podejrzenie, ale porzuciła je szybko: miała wiele innych spraw do przemyślenia.

Zdjęła suknię z pomocą panny służącej i ułożyła się w wielkim wygodnym łóżu, w pościeli ozdobionej koronkami i monogramami hrabiego. Usnęła prawie natychmiast, zaledwie zdążywszy odmówić krótką modlitwę.

Przedtem pomyślała jeszcze, że cokolwiek się stanie, zostanie jej mnóstwo pięknych wspomnień i nie będzie musiała żałować, że nigdy nie uczestniczyła w balach i przyjęciach, o jakich opowiadała jej matka.

Poznanie księcia regenta - to prawie to samo, co być przedstawionym u dwom w pałacu Buckingham - pomyślała i uznała się za najszczęśliwszą dziewczynę pod słońcem.

Salrina obudziwszy się zadzwoniła małym dzwoneczkiem, zdziwiona, że jest już po dziewiątej.

- Muszę wstawać! - wykrzyknęła.

- Ależ nie, panienko - odpowiedziała pani Freeman, która weszła do pokoju z chwilą, gdy służące rozsunęły zasłony. - Przyniosłam pani śniadanie do łóżka, a pan hrabia powiedział, żeby pani odpoczywała jak najdłużej. Wróci dopiero na lunch.

- Czy pan hrabia wyjechał?

- Tak, pojechał konno.

Salrina żałowała, że nie pojechała razem z nim, ale po chwili pomyślała, że raczej nie wypadałoby pokazywać się w swojej znoszonej amazonce na Rotten Row (Rotten Row - aleja do konnej jazdy w Hyde Parku, w Londynie (przyp. tłum.)). Pewnie hrabia wstydziliby się takiej towarzyszki.

Jest tak szalenie elegancki, rozmyślała, poza tym na pewno jakaś urocza dama oczekuje jego towarzystwa na przejażdżce, a może nawet jest kilka dam.

Przypomniała sobie, co o nim opowiadano w sąsiedztwie: o przyjęciach, jakie urządzał, i o dziesiątkach młodych kobiet, które marzyły, aby się za niego wydać.

Dawniej Salrina sądziła, że wieści te, zanim dotarły do położonego z dala od Londynu dworu jej ojca, były z pewnością ubarwione, a może całkiem bezpodstawne.

Teraz, po spotkaniu hrabiego, była gotowa uznać jego romanse za prawdopodobne, a opowieści o nich za nie tak bardzo przesadzone.

Postanowiła, że w przyszłości będzie z większą uwagą przysłuchiwać się temu, co o nim mówią. Łączy ją z nim przecież przygoda, której również nie dano by wiary, gdyby ją komuś opowiedziała.

Gdy skończyła śniadanie, pani Freeman przyszła uzgodnić z nią wybór stroju na wieczór. Pokazano jej kilka toalet nadających się na przyjęcie w pałacu Carlton i powiedziano, że ta, którą wybierze, będzie dopasowana do jej figury. Wszystkie suknie były tak piękne! Salrina wpatrywała się w nie z zachwytem. Hrabia powiedział, że jego siostra nie wzięła ze sobą do Irlandii najwspanialszych sukien. I nie było to dziwne. Moda bowiem zmieniła się od początku stulecia, kiedy to po raz pierwszy wprowadzono proste suknie z podwyższoną talią. Teraz dół sukien i karczki były niesłychanie wyszukane, choć linia wciąż wąska, a talia wysoka. Toalety lady Karoliny, może dlatego, że nie była już najmłodsza i bardzo czuła na to, co modne, odznaczały się wielkim bogactwem koronek, haftów, riuszek i kwiatów.

Z początku Salrina była zupełnie oszołomiona tym, co pani Freeman jej prezentowała. A potem zaczęła się zastanawiać, co jej matka wybrałaby dla niej na tak ważne

przyjęcie. Doszła do wniosku, że jedna z tych sukienek znalazłaby u niej na pewno uznanie: biała i mniej bogato ozdobiona niż inne, ale pod białym muślinem miała srebrną haleczkę, a srebrne wstęgi krzyżowały się pod biustem. Dół ozdabiały białe kamelie ze srebrnymi listeczkami.

- Ta jest śliczna! - wykrzyknęła. - Czy mogę wziąć tę, czy może lady Karolina zachowała ją na jakąś specjalną okazję?

- To dziwne, co pani powiedziała, panienko - rzekła pani Freeman - bo lady Karolina nigdy nie lubiła tej właśnie sukni. Dwukrotnie wkładała ją przed balem i za każdym razem zdejmowała natychmiast. „Nie pasuje do mnie” - mówiła i wkładała coś innego.

- A ja bym chciała włożyć właśnie tę - upierała się Salrina.

- Jak pani sobie życzy, panienko. Jestem pewna, że dla pani będzie odpowiednia.

Suknię zabrano, aby zrobić drobne poprawki, a Salrina ubrała się w inną, bardzo elegancką dzienną sukienkę z materiału jasnozielonego jak pierwsze wiosenne liście. Pani Freeman przyniosła dobrany do niej śliczny kapelusz o wysokiej główce ozdobiony żółtymi kwiatami. Salrina poczuła się odmieniona, jakby ubrana na bal kostiumowy. Zeszła na dół trzymając kapelusz w rękę, aby go włożyć po lunchu. Poza tym czuła, że byłoby zbrodnią zniszczyć elegancką fryzurę, którą po raz pierwszy w życiu wykonał na jej głowie zawodowy fryzjer. Gdy skończył ją czesać, Salrina ledwie poznała sama siebie. Jej falujące włosy zamiast spadać bezładnie, tworzyły piękne obramowanie twarzy. Jednocześnie odsłonięto jej czoło o pięknej owalnej linii, której dotąd nigdy nie zauważyła, oraz trójkątną drobną bródkę.

- Ślicznie pani wygląda, panienko, naprawdę - zachwycła się pani Freeman. - Jestem pewna, że pan hrabia powie to samo.

Salrina miała ochotę rzec, że niewątpliwie hrabia nie zwróci na nią najmniejszej uwagi, ale powstrzymała się. Jednak gdy weszła do biblioteki, gdzie hrabia i lord Charles raczyli się kieliszkiem szampana przed lunchem, zauważyła, jak hrabia obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Choć nic nie powiedział, miała wrażenie, że nie tylko aprobuje jej wygląd, lecz także jest zdziwiony, że ona tak całkowicie różni się od dziewczyny, którą przywiózł do Londynu.

Lord Charles nie był tak powściągliwy.

- Nie ma potrzeby mówić pani, panno Milton, jak uroczo pani wygląda - zauważył - gdyż zwierciadło już to pani powiedziało.

- Pomyślałam sobie, że z tym zwierciadłem jest coś nie w porządku - odparła Salrina. - A pamiętam, jak mi mówiła niania: „Piękne pióra są potrzebne ptakom, a u ciebie liczy się charakter, a nie ładna buzia”.

Obaj panowie zaśmiali się.

- Moja niania mówiła to samo - powiedział lord Charles. - I jestem pewien, że twoja też, Alaric?

- Moja niania powtarzała: „Zrobię z ciebie dżentelmena, choćbym miała kij na tobie połamać!” I zrobiła to.

Śmiali się do chwili, gdy zaanonsowano lunch. I znów był to posiłek, w czasie którego padały błyskotliwe uwagi i Salrinie szkoda było, że idą w zapomnienie.

Żałowała, że nie może ich zapisywać, aby je zachować na zawsze.

Kiedy skończyli, hrabia zapytał Salrinę, co by chciała robić.

- Chce pan powiedzieć, że mogę wybierać?
- W ramach rozsądku - odparł hrabia ostrożnie.

- A czy moglibyśmy pojechać do Tattersalu?

- Do Tattersalu!?! - wykrzyknął hrabia.

- Pewnie to niemożliwe - tłumaczyła się Salrina - ale zawsze słyszałam, że sprzedają tam najlepsze konie, i byłoby wspaniale, gdybym je mogła zobaczyć.

Przypomniała sobie słowa ojca: „Gdyby mnie było stać na jazdę do Tattersalu i na zakup pełnej krwi ogiera i kilku dobrych klaczy, wiem, że z czasem zrobiłbym fortunę”.

- Oczywiście, że możemy pojechać do Tattersalu - rzekł lord Charles. - Dowiedziałem się przypadkiem, że jutro jest sprzedaż koni, które dziś można oglądać, więc nie, ma powodu, aby panna Milton ich nie obejrzała.

- Wolałabym nie jechać, jeżeli to by miało panów znudzić - zastrzegła się szybko Salrina.

- Ja pojedę tam w każdym razie - odparł hrabia - bo właśnie przypomniałem sobie, kto wystawia jutro swoje konie na sprzedaż.

Spojrzał na lorda Charlesa, który rzekł:

- To jeszcze jedna sprawa, o której zapomniałeś, gdy wyjeżdżaliśmy tak nagle z Londynu.

- Najwidoczniej zrządenie losu. Nie zapominaj, że gdybym tu siedział, panna Milton nie zastałaby mnie w domu i nie poprosiła o pomoc. A któż inny zadziałałby równie skutecznie jak my, aby ratować księcia - zauważył hrabia.

Salrina wydała lekki okrzyk:

- Niech pan odpuka. Niech pan szybko odpuka, bardzo proszę! Takie przechwałki przynoszą pecha.

Hrabia spojrzał zdziwiony, ale posłusznie postukał w blat stołu, a potem rzekł:

- Oskarżyła mnie pani o całkiem sporo wad, odkąd się poznaliśmy, panno Milton, a teraz może pani jeszcze dodać do nich zarozumiałstwo.

Salrina spojrzała na niego skonsternowana i niepewna, czy jest na nią zły, ale potem roześmiała się.

- Myślę, milordzie, że tę wadę można panu wybaczyć, bo ma pan wiele powodów, by być zarozumiałym.

- Z powodu majątku? - spytał.

- To pan odziedziczył, więc nie ma w tym pana zasługi. Lecz pani Freeman powiedziała mi, że zdobył pan medal za waleczność, gdy był pan w armii, a to znaczy więcej niż wszystko inne.

Zapadła cisza, jak gdyby hrabia zdumiał się słowami Salriny. Potem, lekko speszony, podniósł się i rzekł:

- Jeśli mamy jechać do Tattersalu, musimy wyruszyć natychmiast, bo potem będzie tam taki tłum, że nie będziemy w stanie zbliżyć się do koni ani je obejrzeć.

Pojechali we troje faetonem hrabiego, a następne dwie godziny wprawiły Salrinę w trudny do opisanego zachwyt. Żałowała tylko, że ojciec tego nie widzi. Na pewno uznałby te konie za wspaniałe i całkiem różne od tych dzikich stworzeń, które kupował i szkolił, aby zdobyć środki utrzymania.

Salrina nie zapomniała o cennej kopercie, którą otrzymała za Oriona i którą wieczorem włożyła do toaletki. Mając ją w ręku stwierdziła, że była zbyt gruba, aby zawierać tylko czek. Farmerzy na ogół nie ufali bankom i woleli operować banknotami, więc ta koperta pewnie nimi była wypchana.

Chodząc razem z lordem Charlesem i hrabią wokół zagród i słuchając ich dyskusji o zaletach i wadach poszczególnych koni, zastanawiała się, czy gdyby zobaczyła jakiegoś wyjątkowego konia po okazyjnej cenie, powinna go kupić w imieniu ojca. Ale szybko zorientowała się, że wszystkie konie osiągną na pewno bardzo wysokie ceny, a przecież te trzysta gwinei przeznaczyć trzeba przede wszystkim na spłacenie długów i zakup paszy dla koni, które już są szkolone przez ojca.

Oglądając konie Salrina bezwiednie zdradziła taki wysoki poziom wiedzy o nich, że hrabia uniósł brwi do góry, co zresztą uszło jej uwagi, a lord Charles słuchał jej ze zdumieniem.

W drodze powrotnej z wyrazem wdzięczności rzekła do hrabiego:

- Bardzo, bardzo panu dziękuję. Teraz widziałam już Tattersal, najślynniejsze miejsce sprzedaży koni na świecie, i mogę zrozumieć, dlaczego klienci rujną się wydając tu pieniądze ponad stan.

- Co pani o tym wie? - spytał hrabia.

- Mój ojciec ma przyjaciela, który doprowadził się do ruiny, kupując za bająnskie sumy konie do polowania, na co nie było go stać. A co śmieszniejsze, kiedy je sprzedawał sześć miesięcy później, dostał za nie dwa razy wyższą cenę.

- To świetna historia i byłaby znakomitą reklamą dla Tattersalu.

- Niemniej to bardzo ryzykowny hazard - orzekł sucho hrabia.

Wrócili na Berkeley Square, gdzie hrabia zaproponował, aby Salrina położyła się i odpoczęła przed oczekującym ich wieczornym przyjęciem.

- Musi się pani dobrze czuć i wyglądać jak najlepiej - tłumaczył jej - by być czujną od pierwszej chwili, gdy przekroczymy próg pałacu Carlton.

- Wiem, że muszę - odparła cicho Salrina - i modłę się, żebym nie zrobiła panu zawodu.

Hrabia spojrział uważnie, jakby chciał się przekonać, czy mówiła prawdę. Ich oczy się spotkały, a Salrina nie mogła oderwać od niego wzroku.

Gdy została sama w sypialni po wyjściu pani Freeman, która zaciągnęła zasłony i przykazała jej spać co najmniej godzinę, wróciła myślami do hrabiego. To bardzo dziwny

człowiek, myślała, już nie czuję do niego nienawiści, ale obawiam się go trochę, a poza tym sędzę, że on marnuje swoje zdolności tak próżnując zamiast czynnie pracować dla dobra Anglii.

Była pewna, od dawna słysząc opowieści o nim, że nie znajduje pola do popisu dla swojej wybitnej inteligencji.

Po chwili powiedziała sobie, że gdyby hrabia poznał jej myśli, uznałby je za impertynencję i wtrącanie się do nie swoich spraw.

Gdy minie jutro, już go nigdy więcej nie zobaczę, pomyślała, ale będzie mi trudno o nim zapomnieć.

Była to jej ostatnia myśl przed zaśnięciem.

Obudziła się, gdy weszły służące, aby odsłonić okno i przygotować kąpiel. Woda wydzielala zapach goździków. Powiedziano jej, że perfumy te pochodzą ze sklepu „Floris” na Jermyn Street, którego właściciel jest dostawcą księcia regenta.

- Nigdy nie wahałam czegoś równie uroczonego - powiedziała Salrina do pani Freeman.

- Dam pani buteleczkę tych perfum, gdy będzie pani odjeżdżać - obiecała gospodyni. - Musi mi pani powiedzieć, jaki zapach pani najbardziej odpowiada, żebym zamówiła, gdy ten się skończy.

Salrina miała ochotę wyznać, że nie będzie jej stać na takie ekstrawagancje. Lecz tylko podziękowała pani Freeman i powiedziała, że przynajmniej chwilowo woli goździki od werbeny.

- Jutro, panienko, wypróbuj pani gardenię - obiecała pani Freeman.

Salrina obliczyła, że będzie to z pewnością ostatnia kąpiel, którą weźmie w tym domu jako gość hrabiego.

Gdy była już ubrana, jej samej trudno było uwierzyć, że nie jest księżniczką z bajki. Biała suknia, istotnie „zbyt młoda”

dla lady Karoliny, wyglądała doskonale na Salrinie. Stroju dopełniały białe kamelie ze srebrnymi listkami przypięte z tyłu głowy.

Pani Freeman musiała rozmawiać na jej temat z hrabią, bo gdy była już ubrana, rozległo się pukanie do drzwi i wszedł sekretarz, pan Stevenson, niosąc pudełko wyłożone aksamitem, a w nim naszyjnik z pereł, które , miały stanowić wykończenie sukni.

- Ukłony od hrabiego, proszę pani - rzekł. - Prosił, abym to pani przyniósł z sejfu.

- Perły! - wykrzyknęła Salrina. - Ależ ja nie mogę tego włożyć! A gdybym je zgubiła?

- Zameczek ma zabezpieczenie. Pani Freeman zapnie go na pani szyi - odparł pan Stevenson. - Te perły należały do matki milorda, gdy była młodą dziewczyną, i nikt ich nie nosił przez długi czas.

Uśmiechnął się, widząc zdumienie na twarzy Salriny i dodał:

- W gruncie rzeczy, panno Milton, jeśli je pani dziś założy, zrobi pani przysługę rodzinie.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Perły tylko wtedy żyją, gdy dość często są noszone bezpośrednio na ciele. Wspomniałem o tym lady Karolinie nie tak dawno, sugerując, żeby je nosiła od czasu do czasu, bo inaczej zmienią kolor.

- I co odpowiedziała?

- Że są dla niej „za młode” i że woli brylanty - uśmiechnął się pan Stevenson. - A więc widzi pani, że nosząc je, wyświadczy pani nam przysługę.

- Rozumiem, że chce mi pan ułatwić podjęcie decyzji - odparła Salrina. - Mam wielką ochotę założyć coś tak pięknego, a ponieważ prawdopodobnie nigdy nie będę miała własnych pereł, zawsze będę pamiętać te właśnie.

- No, no, proszę nie mówić takich rzeczy, panno Milton - wtrąciła pani Freeman. - Wyglądając tak uroczo, jak pani dzisiaj, zdobędzie pani dziesiątki wielbicieli gotowych panią poślubić. Tylko musi pani wybrać takiego, którego stać na naszyjnik z pereł i na dużo innych rzeczy.

Salrinę rozbawiły te słowa, ale nie wierzyła, że może ją coś takiego spotkać.

Zeszła na dół z zamiarem wyjaśnienia panom, jak bardzo ucieszyły ją te perły, ale gdy w bibliotece spojrzała na nich - zaniemówiła.

Już wczoraj, ubrani w wieczorowe stroje do kolacji, wydawali się jej bardzo elegancy. Ale dziś, w pełnej gali, w krótkich spodniach, jedwabnych pończochach i żakietach ozdobionych orderami - byli wspaniali.

Hrabia miał na szyi zawieszony krzyż na wstędze; Salrina domyśliła się, że jest to odznaczenie za męstwo. Ordery lorda Charlesa były przypięte do żakietu.

Gdy podeszła do nich, spostrzegła, że jej wygląd również spotkał się z ich aprobatą, a lord Charles wyraził to głośno słowami:

- Wygląda pani jak boginka, wynurzająca się z fal jeziora Fleet albo spływająca z jakiejś planety, aby oszołomić i oczarować nas, zwykłych śmiertelników.

Bardzo to poetycznie powiedziałeś, Charles - rzekł hrabia. - Ja zaś muszę pani pogratulować, panno Milton, zanim będą gratulować mnie, że wprowadziłem do naszego znudzonego i cynicznego świata kogoś tak pięknego.

Salrina śmiała się, że użył słowa „znudzony”, bo miało już ono dla nich specjalne znaczenie.

Zgodziła się też napić szampana, zanim odjechali w pięknym i wygodnym powozie, który czekał na nich przed wejściem. Drzwiczki powozu ozdobione były herbem hrabiego, a uprząż lśniła od srebra.

- Jestem pewna, że to po prostu sen - rzekła Salrina, gdy ruszyli. - Zbudzę się w swoim domu, a ta karetka okaże się zwykłą dynią.

Hrabia zaśmiał się.

- Jako pani ojciec chrzestny z baśni zapewniam, że jedzie pani na bal do księcia, chociaż jest on trochę starszy i tęższy niż ten z bajki o Kopciuszku.

- Mimo to bardzo, bardzo dla nas ważny - rzekła Salrina.

- Oczywiście - zgodził się hrabia. - Ale teraz porozmawiajmy przez chwilę poważnie. Gdy pani zauważy człowieka, którego szukamy, nie wolno pani zwracać uwagi mojej lub Charlesa w sposób, który mógłby go ostrzec. Radzę, aby pani miała w ręku chusteczkę i gdy go pani spostrzeże, proszę ją upuścić.

- A jeśli mu się uda strzelić do księcia, zanim ja go zauważę? - spytała Salrina drżącym głosem.

- Rozmawialiśmy o tym z Charlesem i jesteśmy pewni, że nie zrobi tego.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ zanimby wyciągnął pistolet z kieszeni, a ukrycie go jest bardzo trudne, gdy się jest w wieczorowym stroju, zostałby zauważony i pochwycony.

- A więc, pana zdaniem, co on zrobi?

- Jesteśmy obaj przekonani, że użyje sztyletu, czegoś, co Włosi nazywają stiletto. Francuzi używali ich w nocnych atakach na naszych żołnierzy, kiedy nie chcieli robić hałasu.

- To prawda - rzekł lord Charles.

- Podkradali się do śpiących w namiotach lub na otwartym powietrzu. Żołnierz ginął, przebity, zanim zdążył otworzyć oczy i zaalarmować kogokolwiek.

- Rozumiem - powiedziała Salrina, zamyśliwszy się.

- Myślę, że morderca uderzy w momencie, gdy będzie prezentowany jego wysokości - kontynuował hrabia. - Poda

mu prezent od markiza, o którym wspominali w rozmowie, i gdy księżę wyciągnie po niego rękę, zręcznie wbije mu sztylet w serce lub w pewne miejsce między żebra, od czego ginie się natychmiast.

Salrina wydała okrzyk przerażenia, a hrabia dodał:

- Jeśli sztylet będzie ostry i bardzo cienki, a Francuz lak zręczny, jak sądzimy, morderca zdąży odejść od księcia, zanim on osunie się na podłogę. W ciągu kilku sekund, kiedy uwaga wszystkich będzie skupiona na umierającym, zabójca może się nawet wymknąć.

Salrina złożyła ręce.

- Pan mnie przeraża! - powiedziała stłumionym głosem. - Jeśli to się odbędzie tak szybko, możemy się spóźnić.

Strach w jej głosie był tak wyraźny, że hrabia położył jej uspokajająco rękę na dłoniach.

- Nie spóźnimy się - rzekł - ale wszystko zależy od pani, panno Milton. Myślę, że to był szczęśliwy dzień dla jego wysokości, gdy pani podsłuchiwała rozmowę o planowanym zamachu.

Bezwiednie Salrina zacisnęła palce na jego dłoni.

- Jest pan pewny... całkiem pewny, że ja nie zawiodę?

- Zupełnie pewny - powiedział hrabia spokojnie.

Rozdział 6

Pałac Carlton spełnił wszelkie oczekiwania Salriny. Wspaniały hall ozdobiony jońskimi kolumnami z brunatnego marmuru ze Sieny robił wielkie wrażenie. Gdy szli w górę podwójnymi schodami o wdzięcznie wygiętej linii, żałowała, że jest zbyt podniecona tym, co się może wydarzyć, aby dostatecznie się cieszyć wszystkim, co ją otaczało.

Z Sali Koncertowej, do której ich najpierw wprowadzono, przeszli do Salonu Chińskiego, o którym tyle krytycznych uwag czytała w gazetach. Pamiętała, jak matka mówiła do ojca, gdy skończono ozdabiać ten salon:

- To nie do wiary, żeby na meble z Chin do jednego tylko pokoju wydać sześć tysięcy osiemset siedemnaście funtów.

- Zgadzam się, że trudno w to uwierzyć - odparł ojciec. - Ja bym raczej wydał te pieniądze na konie.

Śmiali się wówczas oboje, ale Salrina pamiętała powtarzające się często, takie same narzekania na temat zegarów, sewrskiej porcelany, gobelinów czy jedwabów.

Jej matka nie krytkowała tylko wydatków na zakup obrazów.

- To radość na całe wieki - mówiła Salrinie. - Cieszę się, że tak wiele obrazów wielkich mistrzów europejskich będzie własnością naszego kraju.

Gdy doszli wreszcie do Salonu Chińskiego, Salrina nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że za chwilę spotka następcę tronu, tego tak bardzo podziwianego i równie często krytkowanego księcia regenta.

Okazał się on, jak ją zresztą hrabia uprzedził, dość korpulentny i żadne sznurówki nie mogły wyszczuplić jego talii. Ale i tak był niezwykle przystojny. Mówiono, że choć łatwo mu przychodziło robić sobie z ludzi wrogów, nie utracił zarazem sztuki zaskarbiania sobie uczuć nie tylko kobiet, ale i mężczyzn, zarówno młodych, jak i starszych.

Kiedy hrabia przedstawił mu Salrinę, księżę uśmiechnął się do niej, a ona odczuła promieniujący od niego urok. Złożyła wdzięczny ukłon, a księżę odezwał się:

- Dziękuję ci, Alaric, że przyprowadziłeś mi tak uroczego gościa. Nie przesadziłeś mówiąc o jej wdziękach.

Salrina poczuła się onieśmielona nie tylko z powodu komplementu księcia, ale również dlatego, że hrabia wychwalał jej urodę. Po chwili uprzytomniła sobie, że zrobił to pewnie w celu uzyskania dla niej zaproszenia do pałacu, i to z powodów zupełnie innych niż jej osobisty urok.

Salon Chiński wydawał się pełen gości, gdy tam weszli, ale ciągle jeszcze przybywali nowi, tworząc olbrzymie zgromadzenie, które miało udać się na uroczysty obiad ; do sali jadalnej. Ku wielkiej uldze Salriny do stołu prowadził ją lord Charles i siedział po jej lewej ręce. Po prawej miała jakiegoś starszego, gadatliwego członka Parlamentu, który mówił wyłącznie o sobie. Dzięki temu mogła się rozejrzeć dookoła i podziwiać wspaniale wypolerowany stół pięknie zastawiony srebrem, złotem i sewską porcelaną, zakupioną na życzenie księcia po rewolucji we Francji, ze zbiorów w Wersalu.

W owym czasie wszystkim zdumiewała taka ekstrawagancja młodego księcia, ale Salrina była przekonana, przyglądając się wytwornym meblom i pięknym obrazom, że z biegiem lat przedmioty te zyskają na wartości, a dobry smak księcia będzie doceniony.

Zarówno Salrina jak i lord Charles wiedząc, co może się wydarzyć tego wieczoru, nie mogli skupić myśli na niczym innym. Gdy hrabia Fleetwood złożył tego ranka wizytę w pałacu Carlton, dowiedział się, że wszyscy troje będą brali udział w uroczystym obiedzie, zanim obejmą swoje funkcje obrońców księcia w większym gronie. Wydał im wtedy

wyraźne rozkazy, jak oficer zwracający się do żołnierzy przed bitwą:

- Francuz przybędzie później - mówił - gdyż ksiązę zaprosił mnóstwo gości, aby spędzili z nim miło czas po obiedzie w ogrodzie, jeśli będzie ładna pogoda, lub w gotyckiej oranżerii.

Zrobił pauzę i uśmiechnął się.

- Salrinie wyda się ona pewnie średniej wielkości katedrą, zapierającą dech w piersiach ze względu na przepych.

Mówił to właściwym sobie suchym tonem, który zawsze peszył Salrinę, bo nie wiedziała, czy oznacza on rozbawienie, czy sarkazm.

- Możemy się cieszyć, że ksiązę nie zaplanował na dziś żadnej z tych gigantycznych fet, kiedy to ogłuszają gości cztery orkiestry grające jednocześnie, a w ogrodzie nie można się precyzyjnie przemieszczać między wielkimi namiotami.

I hrabia spojrzawszy przez okna na niebo, powiedział:

- Ponieważ dziś jest ponuro i wilgotno, a ksiązę nie cierpi chłodu, na pewno zostaniemy w pałacu, co nam ułatwi zadanie.

Gdy obiad zbliżał się ku końcowi, a podano tyle dań że Salrina była zmuszona odmówić kilku z nich, damy powstały i przeszły do Chińskiego Salonu.

Później przyłączyli się do nich panowie, a gdy zaczęli przybywać inni zaproszeni goście, wypełniła się zarówno Sala Koncertowa, jak i przylegające do niej pokoje.

Zgodnie z rozkazami hrabiego, Salrina starała się trzymać blisko księcia regenta, który zajął pozycję w środku salonu i witał swych gości z tą samą czarującą uprzejmością, jaką okazał jej. Patrząc na damy, które go otaczały i przymilały się do niego, a którym ksiązę odpłacał hojnie komplementami, Salrina odczuła wdzięczność dla lady Karoliny, że mogła wystąpić w jej pięknej toalecie. Byłoby absolutnie

wykluczone zjawić się w pałacu Carlton w jakimkolwiek własnym stroju. A czyż mogła sobie pozwolić na kupno sukni, która dorównałaby toaletom tych pań ubranych w diademy, kolie i bransolety z wszelkich znanych kamieni szlachetnych? Pomyślała też, że prosty, lecz cenny naszyjnik z pereł, który jej hrabia pożyczył, był idealnie odpowiedni dla młodej dziewczyny i że wybór tego klejnotu świadczył, jak wiele wiedział o kobietach.

Spojrzała na drugi koniec salonu i zobaczyła, jak hrabia zaśmiewa się z czegoś, co opowiada mu jakaś piękna dama obwieszona rubinami. Jej dekolt był tak głęboki, że Salrina, spojrzawszy na nią, splonęła rumieńcem. Hrabia zaś zdawał się bardziej rozbawiony niż zwykle. Salrina doszła do wniosku, że ona sama musi się wydawać nudna w porównaniu z tymi iskrzącymi się dowcipem damami przypominającymi boginie. Śmiejąc się ze swoich własnych myśli, uznała, że wszystko, co ją otacza, przypomina teatralne przedstawienie, gdzie tylko ona nie zna swojej roli. To przypomniało jej znów Francuza: a jeśli on się nie zjawi i nie będzie żadnego zamachu na życie księcia? Hrabia upewni się wtedy w swoich podejrzeniach, że cała jej opowieść to był podstęp, aby dostać się do tego „miejsca dla wybranych”, jak mówił. Ta myśl ją tak wzburzyła, że bezwiednie zacisnęła dłonie mocno, aż zbieleły kostki jej palców w delikatnych koronkowych rękawiczkach, starannie dobranych przez panią Freeman do cienkiej jak gaza sukni.

- Takie rękawiczki nosiła lady Karolina, gdy była młodsza - wyjaśniła pani Freeman. - Teraz mówi, że jest na nie za stara.

Salrina zdradziła się prawdopodobnie ze swym niepokojem nie tylko zaciskaniem rąk, ale i wyrazem twarzy, bo nagle usłyszała, jak lord Charles mówi do niej półgłosem:

- Niech pani nie robi takiej przerażonej miny, panno Milton. Ktoś może pomyśleć, że przeżywa pani niepowodzenie w miłości!

Rozśmieszył ją tymi słowami, co było oczywiście jego zamiarem. Podniosła głowę, aby spojrzeć na niego, a że był bardzo wysoki, linia jej szyi wdzięcznie się wygięła.

Salrina czuła obecność hrabiego nie patrząc w jego kierunku i wiedziała, że śledzi ją wzrokiem. Pomyślała, że pewnie ją potępia widząc, jak jej uwaga jest rozproszona. Sam, choć słuchał damy w rubinach, spoglądał często na księcia i tych, którzy się do niego zbliżali.

Ponieważ w salonie toczyły się głośne rozmowy, trudno było usłyszeć nazwiska osób anonsowanych w drzwiach przez majordoma. W pewnej chwili do uszu Salriny dobiegły słowa „Saint Cloud” i zorientowała się, że choć powiedziane z angielska, były to słowa francuskie. Usiłowała dojrzeć, kto przybył, ale w tym momencie ksiązę regent skierował się ze środka salonu ku ścianie, aby pokazać jakiemuś panu, z którym rozmawiał, ostatnio zakupiony obraz. Wisiał on blisko wejścia do pokoju, gdzie zgromadzona była jego słynna kolekcja miniatur. Sporo osób ruszyło za księciem, a Salrina, wyciągając szyję, zobaczyła między dyplomatami w złotem wyszywanych wieczorowych frakach i oficerami w kolorowych mundurach - jakiegoś człowieka, którego twarzy nie mogła wyraźnie dojrzeć. Nie alarmując lorda Charlesa, szybko przeciskała się między eleganckimi damami, dyskutującymi o najnowszych fasonach kapeluszy, i panami, omawiającymi sytuację polityczną, aby wreszcie zobaczyć, że stojący przed księciem człowiek, gotów do złożenia ukłonu, to był Francuz. Nie można było nie poznać jego długiego nosa, lisiej twarzy i oczu.

Odziany był według ostatniej mody, ale jako Francuz wyglądał trochę inaczej, jakby nie na swoim miejscu między

spokojniej ubranymi Anglikami. W rękę trzymał niewielki pakiecik, który jak Salrina wiedziała, miał być podarunkiem dla księcia.

Zgodnie z rozkazem hrabiego natychmiast upuściła chusteczkę, a potem przysunęła się bliżej księcia w obawie, że tłum jej go zasłoni. Pomyślała, że może hrabia i lord Charles nie zauważyli jej znaku i że trzeba by ich jeszcze jakoś dodatkowo ostrzec.

W tym momencie książę uśmiechnął się do Francuza, a ten wyciągnął lewą rękę, w której trzymał pakiecik, i zaczął wyjaśniać po francusku, że przyniósł go w imieniu swego wuja, markiza de Saint Cloud. Jednocześnie Salrina zauważyła, że jego prawa dłoń wsuwa się w zanadrze. Wiedząc, co teraz ma nastąpić, wydała lekki okrzyk i zobaczyła, że hrabia zaczyna się pospiesznie przeciskać między jakimiś pięknymi damami, oblegającymi księcia - zbyt późno.

Francuz bowiem także usłyszał okrzyk Salriny, obejrzał się i z szybkością, która ją zaskoczyła, rzucił podarek na ziemię, w ułamku sekundy otoczył ramieniem jej szyję i przyciągnął ją do siebie, opierając się plecami o ścianę, a jednocześnie prawą ręką wyciągnął ostro zakończony, długi, cienki sztylet i oparł jego ostrze na jej piersi.

Zapanowała martwa cisza.

- Jeden ruch, a ta kobieta zginie - powiedział.

Zabójca był wyższy od Salriny, więc ramieniem odchylił jej głowę do tyłu, a sztylet oparł tak mocno o jej pierś, że czuła ostrze przez cienką tkaninę sukni.

Nikt się nie poruszył, a Francuz małymi krokami przesuwał się przy ścianie w kierunku otwartych drzwi Sali Miniatur. Salrina ledwo mogła oddychać i widziała jak przez mgłę zszokowaną twarz księcia i grozę na twarzach otaczających go dam.

Rozpaczliwie szukała spojrzeniem hrabiego, ale gdy tylko spróbowała odwrócić głowę, poczuła kłujący ucisk sztyletu i wszystko zaczęło się rozpląwać przed jej oczyma. Francuz powoli cofał się do drzwi i już miał zrobić krok na progu do sąsiedniej sali, gdy Salrina, jakby jej ktoś podpowiedział, co ma zrobić, podstawiła mu nogę. Francuz potknął się i zachwiał. Był to niewielki ruch, ale wystarczył hrabiemu. Skoczył do przodu, podbił do góry rękę, w której tamten trzymał sztylet, i jednocześnie wymierzył mu silny cios w twarz. Salrina, pozbawiona nagle oparcia, upadła na dywan, a w tej chwili hrabia uderzył Francuza po raz drugi, mierząc w brodę. Ten osuwał się powoli po ścianie i wreszcie runął mu do stóp.

W salonie rozpętało się istne piekło. Lord Charles podniósł Salrinę, a dwaj adiutanci wynieśli nieprzytomnego Francuza do sąsiedniego pokoju.

Mimo że lord Charles ją podtrzymawał, Salrina miała uczucie, że słabnie, starała się nie zemdleć. Hrabia poprawiał na sobie strój i nie odpowiadał na pytania, którymi go zasypywano ze wszystkich stron. Wreszcie książę regent, jak zwykle szybko orientujący się w sytuacji, zapytał:

- Wiedziałeś, co mi groziło?
- Ostrzeżono mnie, sir, że może się to zdarzyć.
- I mimo to nie poinformowałeś mnie?
- Sądziłem, że to mogłoby wytrącić waszą książęcą mość z równowagi, a my byliśmy przygotowani i gotowi obronić księcia. Nie spodziewałem się tylko, że on może wziąć zakładnika.

- Widziałem, że to akcja panny Milton dała ci okazję, aby go powalić - rzekł książę z zadowoleniem. - Muszę jej podziękować.

Choć jeszcze półprzytomna, Salrina złożyła głęboki ukłon i nieśmiało przyjęła serdeczne wyrazy wdzięczności od księcia.

- A teraz, jeśli księżę nam pozwoli - rzekł hrabia - myślę, że powinienem odwieźć bohaterkę dzisiejszego wieczoru do domu, i mam nadzieję, że już żaden niemiły incydent nie zakłóci księciu uroczystości.

- Nie zapomnę ci tego, Alaric - rzekł księżę regent, kładąc mu przyjaźnie rękę na ramieniu - ale porozmawiamy o tym jutro.

Jeszcze raz podziękował Salrinie, która z uczuciem niemalej ulgi opuściła pałac, podtrzymywana z jednej strony przez hrabiego, a z drugiej przez lorda Charlesa. Gdy schodzili po schodach do hallu, słyszeli, że gwar w salonie za ich plecami stawał się coraz głośniejszy.

Gdy hrabia umieścił Salrinę w powozie, który zjawił się przed wejściem zadziwiająco szybko, lord Charles odezwał się:

- Jeżeli nie weźmiesz mi tego za złe, Alaric, wróciłbym jeszcze na chwilę do pałacu. Chcę się upewnić, czy dobrze zamknięto Francuza, a poza tym jestem ciekaw, co mówią o tobie i panie Milton.

- Mogę się tego domyślić dość dokładnie, nie słysząc mówiących - odparł hrabia z sarkazmem, wsiadając do powozu.

Następnie usiadł obok Salriny, a lord Charles powrócił do hallu.

Salrina milczała, nie dlatego, że nie miała o czym mówić, lecz ponieważ zdawało jej się, że wszystko wokół niej wiruje, a jej stopy nie dotykają ziemi. Hrabia wyczuł jej stan, wziął ją za rękę i powiedział:

- Już po wszystkim. Była pani wspaniała! Z mojej winy, ponieważ nie przewidziałem, że księżę zmieni miejsce, mogła pani zostać zamordowana.

- Obawiałam się, że pan może nie zauważył... że upuściłam chusteczkę - powiedziała niepewnie Salrina.

- Powinienem był przewidzieć, że tak się może stać - rzekł hrabia z gniewem.

- Niech się pan nie obwinia - odparła Salrina. - Był pan szybki jak błyskawica, to było wspaniałe. Gdy podstawiłam mu nogę, a on się potknął - podbił mu pan rękę, zanim zdążył... mnie zabić - dokończyła głosem tak drżącym, że hrabia powiedział prosząco:

- Niech pani już o tym nie myśli. Była pani w niebezpieczeństwie, ale wyszła pani z tego cało. Teraz trzeba zapomnieć i wierzyć, że piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce.

Salrina próbowała się roześmiać, ale jej śmiech zabrzmiał trochę chrypliwie. Spytała z niepokojem:

- A jeśli Napoleon będzie znowu próbował... przez innego zabójcę?

- Wątpię - odparł hrabia. - Francuzi nie lubią porażek i nie powtarzają nieskutecznych ataków.

Z pałacu Carlton do Berkeley Square było niedaleko. Kiedy dojechali i wchodzili do hallu, hrabia zapytał:

- Czy nie miałyby pani ochoty na kieliszek szampana? Salrina potrząsnęła głową.

- Chciałabym... jeśli pan nie ma nic przeciwko temu... iść wprost do łóżka.

- Myślę, że to bardzo rozsądne.

Salrina wchodziła wolno po schodach, trzymając się balustrady, tak czuła się znużona. Pokojówka, która jej usługiwała, czekała już na nią w sypialni. Salrina rozebrała się i położyła do łóżka, prawie się nie odzywając. Gdy została

sama, nie zgasiła świecy, lecz usiadła, oparta wysoko o poduszki, rozmyślając o wszystkim, co przeszła, i prawie nie wierząc, że to się naprawdę stało.

Jak to możliwe, żeby ona, dziewczyna bez żadnego znaczenia w towarzystwie, przybyła z głębokiej prowincji, wkroczyła do pałacu Carlton, aby ratować życie księciu, narażając się przy tym na utratę swojego?

Kiedy się rozbierała, zauważyła na swojej piersi mały czerwony znak od ukłucia sztyletu. Wiedziała, że tylko niewiarygodnie szybka akcja hrabiego nie pozwoliła Francuzowi wbić sztyletu w jej serce i uciec w zamieszaniu, jakie by potem nastąpiło.

- Muszę jutro powiedzieć hrabiemu, jaka mu jestem wdzięczna - postanowiła.

I nagle, z takim bólem, jakby ten sztylet naprawdę przeniknął do jej serca, zdała sobie sprawę, że wszystko się skończyło, a jej nie pozostaje nic innego, jak wrócić do domu. Przeżyła w ciągu dwóch ostatnich dni przerażające i przykre chwile, ale jednocześnie, choć wydarzenia wstrząsnęły nią, nigdy ich nie zapomni. Była pewna, że nawet gdyby już nigdy nie spotkała hrabiego lub lorda Charlesa, zawsze pozostaną jej bliscy, jakby byli częścią jej samej.

Westchnęła głęboko i rozejrzała się po pokoju. Będzie na pewno pamiętać nie tylko te dramatyczne chwile, ale również elegancję i luksus pałacu Fleet, piękno pokoju, w którym się teraz znajdowała, i niewyobrażalne skarby pałacu Carlton. Będę o tym marzyć i śnić, mówiła sobie, jakby wszystko, co widziała, było tylko fantazją.

Gdy już zdecydowała, że czas spać, otworzyły się drzwi w drugim końcu pokoju, które jak sądziła, prowadziły do jakiejś garderoby, i ku jej zaskoczeniu wyszedł z nich hrabia.

Szedł przez pokój w jej stronę i zauważyła, że się już rozebrał, a kryza nocnego stroju osłaniała wysoko jego szyję

ponad kołnierzem czerwonego szlafroka, co sprawiało, że wyglądał, jakby wyszedł ze starej ryciny.

Podszedł do łóżka i stał patrząc na nią, a Salrina spytała nieśmiało:

- Czy przyszedł pan powiedzieć mi dobranoc? Ja... ja... zapomniałam zamknąć drzwi na klucz, tak jak obiecałam, ale nie wiedziałam, że są jeszcze drugie drzwi.

Hrabia uśmiechnął się, a potem usiadł na brzegu łóżka, z twarzą zwróconą ku niej.

- Wiem, że jesteś zmęczona, Salrino - rzekł - ale muszę z tobą porozmawiać, bo podejrzewam, że zechcesz jutro odjechać.

- Oczywiście - przytaknęła Salrina - muszę wracać do ojca, jak pan wie, ale... właśnie myślałam... to wszystko było takie niezwykle... nigdy nie zapomnę wizyty w Fleet... ani tego ślicznego pokoju.

- A czy mnie też będziesz pamiętać?

Salrina uśmiechnęła się, pokazując dołeczki w policzkach, i rzekła:

- Sądzę, że byłoby... niemożliwe... zapomnieć pana.

- Tak jak ja nie mógłbym zapomnieć ciebie - powiedział hrabia.

Mówił głosem, jakiego dotąd u niego nie słyszała, i gdy patrzyła na niego pytająco, dodał:

- Zdajesz chyba sobie sprawę, Salrino, że teraz, gdy połączyły nas takie dramatyczne wypadki i tyle mamy ze sobą wspólnego, nie możemy się wzajemnie utracić.

- Ja... nie rozumiem... co pan mi chce... powiedziec - wyszeptała Salrina.

- Czy mam to powiedzieć w inny sposób? - spytał hrabia.

I zanim Salrina zorientowała się, co się dzieje, otoczył ją ramionami, jego usta spoczęły na jej ustach. Przez moment nie mogła zaczerpnąć oddechu, nie mogła myśleć. A gdy hrabia

nie przestawał jej całować, nagle pojęła, że to właśnie było coś, czego pragnęła i za czym tęskniła, choć nie przyznawała się do tego nawet przed sobą.

W miarę jak jego usta na jej niewinnych wargach stawały się coraz bardziej natarczywe i zachłanne, Salrina zdała sobie sprawę, że był częścią jej marzeń, jej snów i częścią piękna, jakie ją otaczało. Wyczuwała w nim wibrowanie, którego była świadoma od samego początku i które ich w dziwny sposób łączyło; pod wpływem jego pocałunków i ona doznała drżenia, jakiego nigdy dotychczas nie doświadczała. Jakby gorące promienie słońca przenikały ją na wskroś i biegły ku niemu.

Czuła jednak, że on żądał od niej czegoś więcej, co tylko ona mogła mu dać, a pragnęła, jak nigdy dotąd, uczynić go szczęśliwym.

Uniósł na chwilę głowę, a gdy spojrzała na niego oczami, które w blasku świec wydawały się wypełniać całą jej twarz jasnością gwiazd, zaczął ją znowu całować.

Czuła teraz łomot jego serca przy swoim i dziwny żar bijący od jego warg i zapalający nieznane płomienie w jej ciele. Gorąco paliło jej piersi aż do gardła i łączyło się z żarem jego ust.

Znowu podniósł głowę, a Salrina, oszołomiona, jakby unosząca się razem z nim do nieba, wykrzyknęła:

- Kocham cię! Nie wiedziałam tego aż do tej chwili, ale kocham cię!

- Tak jak ja kocham ciebie - odparł hrabia głębokim głosem, przepojonym uczuciem. - Nie sądziłem, że istnieje kobieta tak słodka, tak niewinna, tak zupełnie i całkowicie naturalna.

I byłby ją znów zaczął całować, gdyby Salrina, bojąc się swoich własnych uczuć, nie zasłoniła twarzy rękami. Zrozumiał to i rzekł, uśmiechając się do niej:

- Kochanie moje, chcę cię nauczyć tylu rzeczy o miłości.
- Ja... ja nie wiedziałam, że to... tak wygląda, jak...
- Jak co?
- Jak przenikające mnie promienie światła, a może słońca, bo są takie gorące!

- To jest początek - rzekł hrabia. - Przy mnie będziesz płonąć, moja piękna, aż oboje spłoniemy w naszej miłości. Przekonasz się, że nic innego na świecie nie ma znaczenia, tylko miłość!

- Ja się... tego trochę boję!
- Czy boisz się mnie tak, jak wtedy, gdy przyjechałaś do Fleet?

- Nie, nie tak - odpowiedziała. - Myślę, że bardziej boję się... samej siebie i tego, co czuję.

Hrabia roześmiał się z czułością.

- Ubóstwiam cię! - rzekł. - Żadna kobieta nie wyznałaby tego. Obiecuję ci, że będziemy razem bardzo, bardzo szczęśliwi.

- Jak to... razem? - spytała Salrina.

- O tym porozmawiamy jutro rano - odpowiedział, - Jest już późno. Wiem, jak jesteś zmęczona po tak denerwujących przeżyciach.

Stojąc już, patrzył na nią jeszcze przez chwilę i rzekł całkiem innym tonem:

- Pragnę cię, Bóg jeden wie, jak bardzo! Lecz może po raz pierwszy w życiu myślę bardziej o kimś innym niż o sobie.

Salrina wyglądała na zdezorientowaną.

- Nie wiem... nie rozumiem, co chcesz powiedzieć.

- Wiem, że nie wiesz! - powiedział hrabia jakby do siebie.

- I to jest druga z tych rzeczy w tobie, tak niezwykła i rozbijająca.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Śpij teraz - rzekł - a jutro pomyślimy, jak wytłumaczyć twojemu ojcu, że teraz nie możesz wrócić do domu. Potem zdecydujemy, gdzie będziesz mieszkać i gdzie będę cię uczył, co to jest miłość.

Salrina chciała znowu zaprotestować, powiedzieć, że go nie rozumie, ale jego usta zmusiły ją do milczenia. Całował ją, a ona nie wiedziała, co się z nią dzieje: płynęli przez ciemność w przestworza, do światła, które przyciągało ich i zdawało się być niebem, gdzie zawsze będą razem. A gdy błyskawice pożądania zaczęły znów wprawiać jej ciało w drżenie, hrabia oderwał się od niej.

- Uderzasz mi do głowy, Salrino - rzekł zmienionym głosem. - Albo raczej do serca! Dobranoc, moja śliczna! Zostaw wszystko mnie. Od jutra nie będzie już dla nas żadnych problemów ani samotnych nocy.

Pocałował ją w rękę i zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, choćby to, że go kocha, przeszedł szybko przez pokój, jeszcze raz uśmiechnął się do niej od drzwi i zniknął.

Przez jakiś czas Salrina myślała o tym, co się stało, sama sobie nie wierząc. Drżała jeszcze od jego cudownych pocałunków i mówiła sobie, że jest najszczęśliwszą dziewczyną na świecie. On ją kochał! Powiedział otwarcie, że ją kocha! Hrabia Fleetwood, człowiek, o którym tyle słyszała od czasów dzieciństwa, ale nigdy nie spodziewała się go spotkać!

- Kocham go! Kocham go! - mówiła na głos. Gdy zgasła świecę i leżała rozmarzona na poduszkach, odniosła dziwne wrażenie, że jej matka jest obok niej.

I dopiero wtedy zaczęła analizować to, co się zdarzyło, ciągle nie mogąc wszystkiego zrozumieć.

Będziemy razem, nie będzie więcej samotnych nocy, powiedział do niej, tak jakby to się miało stać natychmiast, zanim wezmą ślub.

I nagle, jakby serce jej przeszły sztylet Francuza, poczuła zimno, które ugasiło w niej płomienie. Zaczęła dygotać. Powoli, z wielkim wysiłkiem, jakby się wspinała na wysoką górę, odtwarzała w myślach każde jego słowo. Przeniknęła ją gorsza od fizycznego bólu świadomość, że wprawdzie mówił jej o miłości, ale ani słowa o tym, że ma zamiar ją poślubić.

Gdy sobie to uświadomiła, nie rozplakała się. Nie będzie płakać! Czowała się teraz tak, jakby dotknąwszy bram niebios została strącona w ciemności piekielne. Towarzyszyła temu niewypowiedziana męka i ból.

- Mamo! Mamo! - szeptała w udęce. - Dlaczego musiało mnie to spotkać? Co ja teraz pocznę?

Wiedziała, że matka zrozumiałaby jej miłość. Takie właśnie uczucie matka ofiarowała jej ojcu od pierwszej chwili, gdy go ujrzała, a ojciec odpowiedział jej tym samym. Nie proponował jej nic innego, lecz tylko by zostali mężem i żoną i razem ruszyli w długą i trudną podróż do Gretna Green.

Ale hrabia nie zasugerował nawet niczego w tym rodzaju. To, co jej oferował, było krzywdzące i niskie, a choć miało pozory wspaniałości, brzydkie i złe. Widziała to jasno, a mimo to chwilami znów czuła jego usta, trzymające ją w niewoli, jego ramiona oplatające ją i jego serce bijące tuż przy jej sercu.

- Kocham go! Och, mamo, kocham go - powtarzała na głos. - Jak mogę go zostawić?

Miała nieprzepartą chęć wyskoczyć z łóżka, iść do jego pokoju i powiedzieć mu, że miłość, jaką jej proponuje, jest nie dla niej. Ale jednocześnie nie czuła się na siłach porzucić go.

Świeca koło jej łóżka wypaliła się do końca, godziny mijały, gdy doszła do przekonania, że jeśli jeszcze raz zobaczy hrabiego, nie opanuje swoich pragnień, ponieważ każdy nerw w jej ciele wyrywał się do niego. Na pewno nie będzie miała

dość siły, aby odmówić mu tego, co proponował i o co prosił, jeśli go zobaczy.

Z cichym okrzykiem Salrina usiadła na łóżku.

- Muszę stąd odejść natychmiast - wyszeptała. Podeszła do okna, odsunęła zasłony i zobaczyła, że gwiazdy zaczynają blednąć, a więc świt jest już blisko.

Ciągle czując przy sobie obecność matki, poszła do garderoby i ubrała się w strój, w którym przyjechała: amazonkę i białą bluzeczkę, którą znalazła wyprasowaną przez służące.

Zanim skończyła się ubierać, pierwsze złote promyki słońca pokazały się na niebie. Salrina otworzyła szufladę toaletki, wyjęła kopertę z trzystu gwineami, które otrzymała za Oriona, i schowała ją do kieszeni zakietu. A potem, gdy świt zaczął przenikać do sypialni, otworzyła cichutko drzwi i wyszła na korytarz. Zdawała sobie sprawę, że hrabia śpi tylko o dwoje drzwi od jej pokoju i przez moment zawahała się.

Opuszcza go, nigdy już go nie zobaczy. Nie wyobrażała sobie, że można odczuwać taki ból, jaki czuła w tej chwili. Stojąc przed drzwiami, wyszeptała:

- Żegnaj! Będę cię kochać do końca życia... Ale Kocham cię za bardzo, aby zrobić to, o co mnie prosisz.

Łzy napłynęły jej do oczu, ale powstrzymała je z całej siły. A potem, w obawie, że jej wola osłabnie, pobiegła korytarzem do schodów i zaczęła z nich zstępować powoli, stopień po stopniu, jakby ją prowadzono na gilotynę.

Rozdział 7

Gdy bramy Fleet szczęknęły, zamykając się za nią, Salrina poczuła się jak wypędzona z raju.

Wszystko poszło gładko, gładziej, niż mogła się spodziewać. Opuściła dom przy Berkeley Square spytawszy nocnego dozorcę, którego zastała w hallu:

- Czy może mi pan wskazać drogę do najbliższego zajazdu, gdzie wynajmują powozy?

Dozorca, na wpół śpiący i przestraszony, że go na tym przyłapano, wyjąkał:

- „Pod Białym Niedźwiedziem”, panienko. To niedaleko, na Piccadilly. Czy mam sprowadzić powóz i panią tam zawieźć?

- Nie, dziękuję, pójdę pieszo.

Służący powiedział przepaszającym tonem:

- Przepraszam, że spałem, panienko. Pan Bateson będzie zły, gdy się dowie.

Salrina uśmiechnęła się.

- Nie wydam cię - obiecała. - Ale w zamian zrobisz coś dla mnie?

- Oczywiście, że tak, panienko!

- A więc proszę nie mówić nikomu, że mnie widziałeś ani gdzie poszłam, chyba że sam pan hrabia cię spyta. Wtedy powiesz prawdę, ale nie spiesz się rozgłaszać tego, co wiesz.

Nastąpiła chwila ciszy, jakby służący, jeszcze prawie chłopiec, starał się zrozumieć, czego od niego żądała. Potem obiecał:

- Nic nie powiem, panienko.

- Dziękuję - rzekła Salrina - i przyrzekam, że i ja nic nie powiem o tobie.

Uśmiechnęła się do niego i pospieszyła przez Berkeley Square tak szybko, jak mogła. Odnalazła Piccadilly, a

pierwszą osobą, jaką spotkała, był zamiatacz ulic, który wskazał jej stajnie, gdzie wynajmowano powozy.

Był to dość okazały zajazd i mimo wczesnej pory kręcili się tam już stangreci oraz jakiś mężczyzna, wyglądający na zarządzającego, który głośno kogoś łajał.

Gdy zorientował się, że Salrina jest klientką, zmienił ton na grzeczniejszy, ale patrzył z niejakim lekceważeniem na jej skromny strój. I pewnie to było przyczyną, że zażądał połowy zapłaty z góry.

Przeraziła ją wysokość sumy, jaką musiała zapłacić, ale nie pozostawało jej nic innego, jak naruszyć owe cenne trzysta gwinei, choć sobie przyrzekała, że ani jednej z nich nie wyda.

Jadąc już w stronę domu pomyślała, że dobrze zrobiła i oboje rodzice na pewno by ją za to pochwalili. Jednocześnie, gdy pędzące konie z każdą minutą oddalały się od hrabiego, czuła, że pozostawia za sobą swoje serce, które już nigdy nie będzie należało wyłącznie do niej.

Karetką pocztową była lekka, ale konie nie tak szybkie jak wspaniała, pełnej krwi czwórka hrabiego, toteż gdy dojeżdżali do dworu Fleet, minęły już trzy godziny od początku drogi. Mimo to, pomyślała Salrina, było za wcześnie, aby w Londynie spostrzeżono jej nieobecność. Pokojówka czekała pewnie na dzwonek, aby jej przynieść śniadanie.

To przywiodło jej na myśl pyszne jedzenie, jakie podawano jej do łóżka, srebrne dzbanki do kawy i śmietanki, filiżanki i talerzyki z porcelany Derby. Wszystko to zostawiła za sobą i nigdy już tego nie ujrzy.

Odźwierny w Fleet pospieszył, aby otworzyć bramę, i oto znów miała przed sobą pałac oświetlony porannym słońcem, mający dla niej jeszcze więcej magicznego czaru niż przedtem.

Poszła prosto do stajni, gdzie Jupiter otarł się o nią pieszczotliwie, jakby zapewniając, że się za nią stęsknił.

Podziękowawszy stajennym za opiekę nad koniem, wręczyła im jedną cenną gwineę do podziału i dość szybko odjechała, czując, że im szybciej zniknie stąd, tym dla niej lepiej.

Podróż powrotna do domu była łatwiejsza, bo nie prowadziła już drugiego konia; mogła jechać na przełaj, przeskakując żywopłoty i wybierając najkrótszą drogę. Nie minęło jeszcze południe, gdy zobaczyła z dala strzechy domów wioski, gdzie spędziła całe swoje życie. W centralnym jej punkcie stał normański kościółek, gdzie ją ochrzczono i gdzie złożono jej matkę na wieczny spoczynek. W tym momencie utwierdziła się w przekonaniu, że jakkolwiek będzie cierpiała, postąpiła tak, jak powinna była postąpić.

To rzecz nie do pomyślenia, żeby jej ojciec czy matka musieli się za nią wstydzic lub żeby ona zapomniała o zasadach, w jakich ją wychowano!

Ale wspomnienie hrabiego sprawiało jej ból i wiedziała, że bez względu na to, jakie były jego uczucia do niej, ona kochała go całą sobą, całym sercem i każdą myślą.

Przez bramę, która nigdy nie była zamknięta, bo zawiasy dawno zardzewiały, wjechała na podjazd zarośnięty zielskiem, otoczony trawnikami wymagającymi skoszenia. A potem zobaczyła przed sobą stary dwór z szarego kamienia, jej dom rodzinny.

- Tu jest moje miejsce - powiedziała do siebie z wyzwaniem w głosie, jakby stała przed hrabią. - Nie mogłabym znieść, gdyby wstyd nie pozwolił mi tu wrócić albo gdyby ojciec się mnie wyrzekł.

Podjechała do stajni, gdzie Len uśmiechał się szeroko na powitanie, okazując, jak cieszy się z jej powrotu. Gdy zsiadła z konia, w drzwiach stajni pojawił się człowiek, w którym rozpoznała stangreta Rosemary.

- Dzień dobry pani - powiedział. - Wprowadzę pani konia.

- Dziękuję.

Poklepała Jupitera po karku i wzięwszy swoje zawiniątko spod siodła, skierowała się ku domowi.

Gdy weszła do zaniedbanego hallu ze starymi kobiercami i wytartym dywanem, odczuła, jak kontrastuje to wszystko ze wspaniałością i luksusem obu domów hrabiego, pałaców w Fleet i na Berkeley Square.

Ale zaraz powiedziała sobie z mocą, że to nie ma żadnego znaczenia wobec faktu, że ten dom zamieszkiwała zawsze miłość i duma, które nie tylko chroniły jego mieszkańców od załamania, ale sprawiały, że nie czuli nawet przygnębienia z powodu swego ubóstwa.. Byli zawsze pogodni, bo ich miłość była ważniejsza od wszystkich dóbr.

Przystanąła, zastanawiając się, gdzie o tej porze może być ojciec: w swoim pokoju czy na dole? Wydało się jej, że słyszy głosy w saloniku, którego okna wychodziły na ogród i w którym najczęściej przebywali, więc otworzyła drzwi do niego.

Słońce zalewało pokój jaskrawym światłem i przez chwilę nic nie mogła dojrzeć. Po chwili zobaczyła ojca, którego noga spoczywała na taborecie, a obok tak bardzo blisko ojca, że ich twarze prawie się stykały, siedziała Rosemary i mówiła coś do niego z powagą. Po paru sekundach oboje zorientowali się, że ktoś wszedł do pokoju. Gdy obrócili się w jej stronę, Salrina miała dziwne uczucie, że przeszkodziła w jakiejś intymnej scenie. Była to przelotna myśl, a zanim na dobre do niej dotarła, Rosemary zerwała się i podbiegła do drzwi.

- Salrino najmilsza! - wykrzyknęła. - Wróciłaś! Tak się cieszę! Twój ojciec i ja baliśmy się o ciebie!

- Tak, wróciłam - odparła Salrina apatycznie. Wszystko poszło dobrze. Uratowaliśmy jego książeczkę wysokość.

Ucałowała ojca, który objął ją i rzekł:

- Jak mogłaś się wplątać w coś tak przerażającego? Z trudnością uwierzyłem w to, co mi Rosemary opowiedziała.

- To była prawda, tatusiu. Ten Francuz zamierzał przebić księcia sztyletem, ale hrabiemu udało się go obronić.

Ojciec objął ją mocniej.

- Bogu dzięki, że już po wszystkim i że wróciłaś do domu szczęśliwie. Nigdy już ci nie pozwolę oddalać się samej z domu, nie dopuszczę, aby coś takiego się powtórzyło.

Mówił to surowo, ale przez jego słowa przebijał wielki niepokój. Pocałowała go jeszcze raz, a nie mając ochoty opowiadać o swoich przejściach, rzekła:

- Mam nadzieję, tatusiu, że Rosemary dobrze się tobą opiekowała i nie pozwoliła ci się przemęczać.

W oczach ojca zabłyśły wesołe ogniki.

- Tyranizowała mnie prawie tak samo jak ty.

- To niesprawiedliwe! - wykrzyknęła Rosemary. - Wykonywałam tylko polecenia Salriny i starałam się, aby pan wyzdrowiał jak najszybciej.

- Byłaś bardzo miła - rzekł lord Milborne. - W gruncie rzeczy z ciebie prawdziwy anioł miłosierdzia.

Sposób, w jaki to powiedział, i pieśczośliwy ton głosu, którego Salrina nie słyszała od dawna, sprawiły, że córka popatrzyła uważniej na ojca, a potem na Rosemary.

Wyraz oczu tej ostatniej wyjawiał jej coś, co powinna była już wcześniej zauważyć: że Rosemary kochała się w jej ojcu i to już wtedy, gdy przychodziła udzielać jej lekcji.

Salrina była wtedy zbyt młoda, aby interesować się uczuciami innych ludzi, ale teraz przypomniała sobie, jak rozjaśniały się oczy Rosemary, gdy ojciec wchodził do pokoju; zawsze też chętnie szła z Salriną do stajni, aby zobaczyć, czy mogą mu w czymś pomóc. Jeżeli ojciec ożeni się z Rosemary... - powstrzymała te myśli. To szalony pomysł i

na pewno ojcu nic takiego nie przyjdzie do głowy. A jednak była przeświadczona, że woleliby pozostać sami.

- Pójdę do niani powiedzieć, że wróciłam - rzekła. - A poza tym nie jadłam dotąd śniadania i jestem bardzo głodna.

- Może moglibyśmy zjeść wcześniej lunch - zasugerowała Rosemary.

Salrina nie odpowiedziała, lecz wyszła z saloniku i pospieszyła korytarzem do kuchni. Jak się spodziewała, niania przygotowywała lunch i, ku zdumieniu Salriny, pomagał jej w tym młody stangret, którego widziała na koźle powozu Rosemary.

- A więc wróciłaś! - wykrzyknęła niania. - Najwyższy czas! Co się z tobą działo, chciałabym wiedzieć! Wszyscy się okropnie niepokoiли o ciebie.

- Wróciłam cała i zdrowa, jak widzisz, nianiu - odparła Salrina, całując ją - ale jestem bez śniadania, a tu coś smacznego bardzo ładnie pachnie.

- Będziesz musiała na to poczekać - przerwała jej niania. - Ale weź trochę herbatników z puszki.

Salrina podeszła do puszki, która zawsze stała na kredensie, lecz w ostatnich latach, gdy im się gorzej powodziło, najczęściej była pusta. Teraz, ku jej zdumieniu, gdy podniosła pokrywkę, znalazła nie tylko kruche maślane ciasteczka roboty niani, ale również makaroniki z migdałami w środku. Popatrzyła na to ze zdumieniem, a niania, jakby odgadując, o co Salrina zapyta, wysłała stangreta po mleko do mleczarni.

- Co się tu dzieje, nianiu? - spytała Salrina.

- No, tylko nie zaczynaj, panno Salrino, wynajdywać kłopotów. Wiesz dobrze, jak jego lordowska mość nigdy nie chce przyjąć żadnych uprzejmości, których nie może odwzajemnić. Ale pani Whitbread powiedziała mi po przyjeździe:

- Nie mam zamiaru narzucać się tutaj i kazać wam żywić trzy dodatkowe osoby. Będę płaciła za nasze utrzymanie. Prościej będzie, jeśli lord Milborne będzie jadł to, co my. Już ja dopilnuję, żeby zjadł to, co będzie przed nim postawione! Salrina roześmiała się.

- Mówisz tak, jakby ona była guwernantką tatusia.

- Wszystko, co mnie na razie obchodzi, to fakt, że mamy na odmianę trochę przyzwoitego jedzenia. Były już kurczęta i jagnię, a pan zaczyna wyglądać jak człowiek.

Salrina nic na to nie powiedziała, wzięła dwa makaroniki z puszki i zamknęła ją.

- Idę na górę, nianiu - rzekła. - Gdybym została dłużej, zjadłabym wszystko, zanim byś zdążyła podać do stołu.

- Nie waż się niczego ruszać, panno Salrino - zaprotestowała niania ostro, ale z uśmiechem na twarzy, a Salrina idąc na górę pomyślała, że nawet niania

wygląda młodziej i weselej tylko dlatego, że w domu jest lepsze jedzenie. Weszła do swojej sypialni, zdjęła strój do konnej jazdy i włożyła jedną ze swych starych sukienek, - wyblakłą od wielokrotnego prania i już trochę na nią przyciasną.

Zmusiła się, aby nie myśleć o toaletach siostry hrabiego, i zeszła na dół, gdzie zastała ojca, siedzącego ze szklaneczką wina w ręce - widok, jakiego nie widziała od dawna.

- Musisz się napić tego, co mi doktor przepisał - rzekła Rosemary. - Już mówiłam ojcu, że jeśli czegoś naprawdę nienawidzę, to picia w samotności.

Wyraz jej oczu zdradził Salrinie, że był to taktowny manewr z jej strony, aby móc sprowadzić wino do domu, nie raniąc dumy ojca.

Popijała więc złotawe wino, próbując nie myśleć o szampanie, który piła w towarzystwie hrabiego. Odpędzała też wspomnienia o jego rozmowie z lordem Charlesem, gdy

siedzieli wszyscy w jadalni, a hrabia zaśmiewał się z kieliszkiem brandy w ręku.

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu po lunchu Salrina nie miała nic do roboty. Dowiedziała się bowiem, że stangret Rosemary zajmował się stajnią i doglądał koni, a jego pomocnik trenował z nim jazdę lub pomagał niani.

Oznaczało to, że Salrina może jeździć konno tylko dla własnej przyjemności, a nie z obowiązku.

Choć próbowali ją wciągać do rozmowy, wyczuła, że ojciec i Rosemary woleli być sam na sam. Toteż wkrótce poszła do swego pokoju i usiadła, zniechęcona, na łóżku.

Zdawała sobie sprawę, że jeśli ojciec kochał Rosemary, a ona jego, ich związek byłby najlepszą rzeczą, jaka mu się mogła zdarzyć.

Lecz zmieniłoby to również jej życie.

Późnym popołudniem, gdy wróciła ze spaceru w ogrodzie, spotkała Rosemary, która czekała na nią w hallu.

Poprosiła Salrinę, aby weszła z nią do małego saloniku, który teraz był rzadko używany, bo należało ograniczyć liczbę pokoiów do sprzątania.

- Mam ci coś do powiedzenia, Salrino. Rosemary wyglądała na zakłopotaną, a gdy Salrina nie odzywała się, czekając na dalszy ciąg, rzekła w końcu:

- Obawiam się, że będziesz wzburzona tym, co ci powiem.

- Jeśli masz zamiar mi powiedzieć, że kochasz mojego ojca, a ojciec ciebie, to nie będę wzburzona, lecz bardzo, bardzo szczęśliwa.

- Naprawdę? Naprawdę?! - wykrzyknęła Rosemary.

- Oczywiście, że tak!

Rosemary przyglądała się jej, jakby nie mogła uwierzyć, że Salrina mówi prawdę. Potem łzy popłynęły jej z oczu.

- Najdroższa - powiedziała - jestem taka szczęśliwa! Po tylu latach smutku dowiaduję się, że człowiek, którego kochałam całe życie, jest gotów odplacić mi miłością.

- Zawsze mi się wydawało, że czułaś do ojca sympatię.

- Kocham go, kocham go całym sercem. Zawsze go kochałam. Nigdy nie sądziłam, że mężczyzna tak przystojny, tak czarujący, który...

Zatrzymała się. Potem z pewnym wysiłkiem dokończyła:

- Wiedziałam, jak bardzo kochał twoją matkę i jacy byli szczęśliwi. Ale wiedziałam, że tylko w opowieściach, które dla siebie tworzyłam, istnieje szansa na happy end.

Salrina objęła Rosemary ramionami, pocałowała ją i rzekła:

- Teraz już jestem pewna, że oboje będziecie szczęśliwi. On bywał tak przygnębiony bez mamy i zmartwiony ruiną wszystkiego wokół nas.

- To jest druga sprawa, o której chcę z tobą pomówić.

Pociągnęła Salrinę na sofę i trzymając ją za rękę spytała:

- Czy miałabyś mi za złe, gdybym zasugerowała twemu ojcu kupno domu koło Newmarket, gdzie mógłby hodować konie wyścigowe?

Salrina nie spodziewała się usłyszeć czegoś takiego, toteż przez długą chwilę milczała, wpatrując się ze zdumieniem w Rosemary, która po chwili ciągnęła:

- Wiem, że on nigdy nie będzie mnie kochał tak, jak kochał twoją matkę, ale ze względu na jego dobro i moje własne byłoby chyba lepiej, żeby trochę zapomniał o przeszłości i jak się to mówi, rozpoczął nowy rozdział w życiu, w otoczeniu, gdzie mniej będzie rzeczy przywodzących na myśl wspomnienia.

Patrzyła z obawą na Salrinę, która wykrzyknęła:

- Oczywiście, masz rację! Posiadać konie wyścigowe to największe marzenie taty!

- Ty byś mogła mu pomagać - dodała Rosemary spiesznie.

Salrina nic na to nie odpowiedziała. Przyszło jej na myśl, że jeśli jej ojciec ma rozpocząć nowe życie, byłoby najlepiej, gdyby ona wyjechała z domu na co najmniej rok, tak aby on i Rosemary mogli być sami. Wiedziała, jak bardzo jest podobna do matki, a ojciec widując ją codziennie, będzie z pewnością więcej myślał o swej zmarłej żonie niż o obecnej. Nie wyjawiała jednak swych obaw, lecz rzekła po prostu:

- Uważam, Rosemary, że czas pomyśleć o waszym ślubie. Czy chciałabyś, aby udzielił wam go twój ojciec?

Rosemary zaczerwieniła się:

- Tak sugerował twój ojciec, ale nie wydaje mi się, abym miała ochotę być pod ostrzałem spojrzeń całej wsi i żeby wszyscy mówili, jaką zrobiłam karierę.

Salrina roześmiała się.

- Będą i tak mieli dosyć materiału do plotek i sprawi im to na pewno wielką przyjemność. Ale nie ma powodu, aby byli świadkami tej ceremonii. Możecie wziąć cichy ślub, wcześniej rano. Myślę, że ja wolałabym tak zrobić.

- I ja też, Salrino - zgodziła się Rosemary. - Droga moja, bardzo cię kocham, zawsze cię kochałam. Jesteś dla mnie taka dobra!

Zaczęła znów płakać, a Salrina zauważyła:

- Jeśli będziesz ciągle płakała, ojciec pomyśli, że ci dokuczam, i będzie na mnie wściekły.

Rosemary roześmiała się przez łzy, a Salrina wyszła z pokoju, aby odszukać ojca i powiedzieć mu, jak bardzo się cieszy, że ma teraz kogoś, kto będzie o niego dbał.

- Często się o ciebie martwiłam, tatusiu, a teraz jestem spokojna, bo Rosemary na pewno będzie dobrą żoną. Ma dobre serce i jest szalenie inteligentna. Będziecie mieli wiele wspólnych zainteresowań.

Ojciec wziął ją za rękę i uściśnął czule.

- Wiesz dobrze, Salrino, tak samo jak ja, że nikt nigdy nie zastąpi mi twojej matki, ale jestem jeszcze stosunkowo młody i bez niej czuję się bardzo samotny.

- Naturalnie, tatusiu, a poza tym potrzebny ci jest syn, który będzie ujeżdżał twoje konie, gdy staniesz się zbyt gruby, żeby robić to samemu.

Rozśmieszyła tym ojca, tak jak zamierzała, ale z wyrazu jego twarzy domyśliła się, że sam już o tym myślał.

Z lekkim bólem w sercu myślała, że choć ją zawsze bardzo kochał, nie mogła zastąpić mu syna, który by odziedziczył jego tytuł i jak to żartem powiedziała, ujeżdżałby jego wyścigowe konie, czego ona jako dziewczyna nie mogła uczynić.

Obiad przeszedł w bardzo przyjemnej, pogodnej atmosferze. Salrina zauważyła, że ojciec nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo poprawiła się u nich kuchnia. Przyjmował bez uwag wyszukane dania, jak również szampana, który pojawił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Rosemary zaproponowała toast za ich wspólną pomyślność.

Później, gdy była już w łóżku, Salrina długo jeszcze słyszała ich śmiech na dole, a następnie kroki ojca, wchodzącego na górę z pomocą służącego Rosemary, który sam uznał się za kamerdynera lorda Milborne,

Już tu nie jestem nikomu potrzebna - pomyślała Salrina. I teraz nie mogła już powstrzymać łez tęsknoty za hrabią. W końcu usnęła.

Dwa następne dni upłynęły na przygotowaniach do wyjazdu ojca i Rosemary do Newmarket, gdzie mieli się rozejrzeć za domem dla siebie i odpowiednią do ich potrzeb stajnią.

Ponieważ stan nogi lorda Milborne bardzo się poprawił, doktor pozwolił mu poruszać się po domu, a nawet odwiedzać

stajnie. Rosemary zdecydowała, że wyjadą w piątek i zatrzymają się u przyjaciół, mieszkających w pobliżu Newmarket, którzy odpisali na jej list, że będą zachwyceni mogąc ich gościć u siebie.

- On jest już starszym panem, dawnym znajomym mego zmarłego męża - wyjaśniła Salrinie. - Zna dobrze tamtejsze stosunki i będzie umiał na pewno znaleźć nam dokładnie taki dom i stajnie, jakich twój ojciec pragnie. - A potem, jakby się zreflektowała, dodała: - Zobaczysz sama, że jest bardzo sympatyczny.

- To bardzo miłe z twojej strony, kochanie, ale ja z wami nie pojedę.

- Dlaczego?

- Z dwóch powodów: po pierwsze, uważam, że ty i tatuś powinniście być sami, a po drugie, dopóki nie kupię sobie kilku nowych sukienek, będę wyglądać przy was jak żebraczka.

Rosemary wydała cichy okrzyk.

- Och, kochanie, ja nie zapomniałam, że potrzebujesz nowego ubrania, i planowałam, że pojedziemy razem do okolicznych sklepów, aby kupić to, co najpotrzebniejsze. A potem, gdy wrócimy z Newmarket, zabiorę cię do Londynu i kupię ci tak śliczne sukienki, jakich nie miała dotąd żadna debiutantka.

Salrina nie protestowała, tylko ucałowała Rosemary.

- Tego mogłam się po tobie spodziewać, ale ja wolę tu na was poczekać, razem z końmi. Róbmy wszystko po kolei. Najważniejszy jest teraz ojciec. Jak już jego wystroisz, zajmiesz się potem mną.

Rosemary roześmiała się.

- Tak mówisz, jakbym była kobietą o dyktatorskich zapędach.

- Myślę tak jak tatuś, że jesteś naprawdę aniołem zesłanym nam przez opatrność dla naszego dobra.

Rosemary uściskała ją i oznajmiła:

- Właśnie tym chcę być. Och, Salrino, czy to nie wspaniałe, cudowne i nadzwyczajne, że jestem dość bogata, aby robić, co chcę, dla ludzi, których kocham, tak jak zawsze pragnęłam?

Dzień później byli już małżeństwem. Ojciec wyruszył do Newmarket, a w stajniach było trzech nowych ludzi najętych do pracy przy koniach, którzy wykonywali swoje obowiązki według instrukcji Salriny.

Sprowadzono też trzy wiejskie dziewczyny, które robiły generalne porządki w domu pod okiem niani.

Salrina żegnała przed domem odjeżdżających, a potem wróciła do siebie, stwierdziwszy w duchu, że jej ojciec od wielu lat nie wyglądał tak młodo i przystojnie jak dziś. Wiedziała, że Rosemary postanowiła wziąć go do najlepszych krawców w Newmarket, a jak tylko dotrą do Londynu - do najlepszych firm krawieckich na słynnej Savile Row. Zauważyła ze zdziwieniem, że jej ojciec, który zgodnie z prawem dysponował teraz majątkiem Rosemary, nie miał oporów, gdy ona spłaciła jego długi, ani nie peszył go fakt, że stał się bogatym człowiekiem dzięki niej. Tylko nadzwyczajny takt i dyplomacja Rosemary mogły rozwiązać tak gładko ten problem.

Salrina także wykazała się wielką delikatnością i gdy poprzedniego dnia rankiem jej ojciec i Rosemary brali ślub, nie uczestniczyła w ceremonii, lecz razem z nianią przygotowała weselne śniadanie, dekorując dom wszystkimi białymi kwiatami, jakie mogła znaleźć w ogrodzie. Wypolerowała też, aż lśniły jak lustra, srebrne półmiski do zakąsek, rzadko wyjmowane z sejfu od śmierci jej matki.

- Nie wierzyłam, że szczęście wróci jeszcze pod dach tego domu - powiedziała niania, gdy czekały na nowożeńców.

- Ojciec ma naprawdę wielkie szczęście, że spotkał Rosemary - odparła Salrina.

Jednocześnie musiała przyznać przed samą sobą, że bolesne uczucie smutku, które teraz nie opuszczało jej serca, było dziś żywsze niż zwykle. Czuła się samotna, a dom po odjeździe ojca z Rosemary - był pusty i cichy.

A oni - była tego pewna - trzymają się teraz za ręce i Rosemary mówi ojcu nie tylko słowami, ale i spojrzeniem, jak bardzo go uwielbia.

To jest coś, czego ja nigdy nie będę mogła powiedzieć żadnemu mężczyźnie - westchnęła Salrina w duchu. Weszła do salonu, aby popatrzeć na wiszący tam portret swojej matki.

- Mamo, co ja mam ze sobą zrobić? - spytała. Miała nieodparte wrażenie, że jeśli uważnie posłucha, usłyszy głos matki, radzący jej, jak ma postąpić.

Usłyszała, że drzwi pokoju otwierają się. Pomyślała, że to niania, i odwróciwszy się szybko od obrazu, podeszła do kominka, aby ukryć łzy w oczach. Ale gdy niania nie odzywała się, odwróciła głowę, aby spytać, czego chce. I znieruchomiała.

To nie niania stała w pokoju, lecz hrabia.

Przez moment myślała, że to wytwór jej wyobraźni, bo przecież nie schodził jej z myśli; ale gdy zaczął iść ku niej, pojęła, że to naprawdę on! Serce zaczęło bić w niej jak młotem, z trudnością oddychała. Zapragnęła podbiec do niego, rzucić mu się na szyję i błagać o jeden pocałunek, zanim każe mu odejść, bo przecież tak musi zrobić!

Lecz nadal miała wrażenie, że matka obserwuje ją z portretu i żąda, aby się zachowała jak prawdziwa dama, uniosła więc brodę do góry i stała spokojnie, choć obawiała się, że on usłyszy głośnie bicie jej serca.

Hrabia zrobił parę kroków, przystanął, potem podszedł jeszcze bliżej i zatrzymał się tuż przy niej.

- Przyjechałem, aby ci powiedzieć, jak mi przykro z powodu mojego postępuku.

Takich słów Salrina się nie spodziewała, więc stała w milczeniu, tylko oczy, coraz większe, zdawały się wypełniać całą jej twarz.

Hrabia przypatrywał się jej, jakby ją widział po raz pierwszy, jakby chciał wyryć jej obraz w swojej świadomości na zawsze. A potem powiedział z lekkim skrzywieniem ust:

- Przepraszam cię po raz trzeci. To weszło już w zwyczaj. Ale mimo wszystko, jak mogłaś zrobić mi coś tak okropnego? Wymknąć się potajemnie i nie powiedzieć słowa, że odjeżdżasz?

Nastąpiła chwila ciszy, zanim Salrina zdobyła się na odpowiedź.

- Musiałam... musiałam odejść!

- Dlaczego?

Poczuła, że krew zalewa jej policzki, a powieki niebezpiecznie zadrgały. Wreszcie wyszeptała:

- Nie mogłam zrobić tego, czego żądałeś!

- Oczywiście, że nie! To było z mojej strony głupie i podłe. Nie powinienem był nawet wspomnieć o czymś takim. Ale tak mnie oszołomiłaś, oczarowałaś od pierwszego wejrzenia, że nie mogłem jasno myśleć!

Salrina niezupełnie rozumiała, co on mówi. Spytała po chwili:

- Jak mnie odszukałeś?

- Zupełnym przypadkiem, gdy już całkiem odchodziłem od zmysłów - odparł hrabia. - Jak mogłaś być tak bezlitosna, nieludzka, żeby przyprawić mnie o cierpienia, jakich nigdy przedtem nie zaznałem z powodu żadnej kobiety!

- Ty chyba żartujesz.

- Mówię prawdę! - odparł ostro hrabia. - Jednak nie powinienem być tracić nadziei. Powinienem był wiedzieć, że los, szczęście czy Bóg - będą po mojej stronie.

- Co się stało?

- Poszedłem odwiedzić twoją przyjaciółkę, Mabel, która kłamała bardzo nieprzekonywająco, ale nie udało mi się wydusić z niej prawdy.

- Skąd wiedziałeś, że kłamała? Hrabia po raz pierwszy uśmiechnął się.

- Byłem pewny, że kłamie. Nie jestem tak zupełnie niewrażliwy.

- Wiem... o tym.

- Tak jak potrafisz czytać w twoich myślach i znam twoje uczucia - mówił dalej hrabia - tak samo zwykle zdaję sobie sprawę, że jeśli ktoś nie mówi prawdy, to znaczy, że ukrywa coś ważnego.

- Ale ja nie jestem... ważna.

- Dla mnie jesteś.

Odwróciła od niego wzrok w obawie, że jeśli znów zacznie ją o coś prosić, nie będzie miała siły mu odmówić. A przecież musi mu się sprzeciwić za wszelką cenę.

- Gdy wyszedłem z domu Mabel, z „Powozu”, czy jak on tam się nazywa, zobaczył mnie ze swojego powozu jeden z sąsiadów. Zatrzymał się i zaczęliśmy gawędzić.

- Spodziewałem się, Fleetwood, że weźmiesz udział w biegu na przełaj. Nawet chciałem się założyć, że wygrasz - powiedział.

- Miałem ważniejsze rzeczy do załatwienia - odparłem.

- Mam nadzieję, że jest ładna - roześmiał się. - Szkoda, że nie widziałeś, jaki szum się zrobił, gdy ten młody zarozumialec, Carstairs, wygrał wyścig.

Niejasno pamiętałem, że Carstairs dzierżawił dużą część gruntów sir Roberta Abbota, i powiedziałem:

- Musiało być niewiele ciekawych zgłoszeń do biegu, jeżeli wygrał miejscowy farmer.

- Miał dobrego konia - powiedział mój znajomy, a widząc moją zdziwioną minę dodał: - Naprawdę wyjątkowego. Najlepszy skoczek, jakiego widziałem od paru lat. Sam bym go chciał mieć.

- Gdzie on go zdobył? - spytałem.

- Od Milborne'a, który go oczywiście wyszkolił.

Odwiedzę go za parę dni i zobaczę, czy nie ma jeszcze czegoś tej samej klasy.

- Milborne? - powtórzyłem. - Gdzieś słyszałem już to nazwisko.

- Oczywiście, że słyszałeś - rzekł. - Twój ojciec bardzo lubił lorda Milborne'a i jego piękną żonę, jedną z najsympatyczniejszych par małżeńskich w całym hrabstwie, choć biedni jak myszy kościelne.

- Będę musiał ich odwiedzić któregoś dnia - rzekłem. - Tylko chwilowo jestem bardzo zajęty.

- Nie ich - powiedział mój znajomy - tylko jego, bo lady Milborne już nie żyje, ale za to jest tam bardzo ładna córka, która również doskonale jeździ konno.

Hrabia przerwał, a potem dodał:

- I wtedy, jakby mi ktoś podpowiedział, spytałem: „Ładna córka? A jak jej na imię?”

- Niech pomyślę - odparł mój znajomy. - Ma jakieś niepospolite imię... Salrina? Tak, Salrina!

- A więc w ten sposób mnie znalazłeś - szepnęła Salrina.

- Ta rozmowa miała miejsce wczoraj, wieczorem - rzekł hrabia - już po tym, jak przeszukałem cały Londyn, bo nie wierzyłem, że mogłaś wrócić do domu, nie czekając na wieści o naszym więźniu ani na podziękowania od księcia za to, że uratowałaś mu życie.

- To ty zrobiłeś powalając Francuza, nie ja - poprawiła Salrina.

- Nie. To ty dowiedziałaś się o zamachu, ty skłoniłaś nas do udania się do pałacu Carlton i ty tak zręcznie podstawiałaś nogę Francuzowi, że dałaś mi okazję do ataku.

Hrabia uśmiechnął się i dodał: - Książę regent jest szczęśliwy, że żyje, i wzywa cię do pałacu, gdzie ma zamiar uroczystie ci podziękować, oraz zaprasza na następne wieczorne przyjęcie, które ma szansę być jeszcze bardziej nudne niż to ostatnie.

- Jak możesz mówić, że było nudne - zaprotestowała Salrina, lecz zdała sobie zaraz sprawę, że hrabia się z nią drażni, bo dodał:

- Sądziłem, że moglibyśmy tam pójść razem. Wiedziała, że musi mu odmówić, a bojąc się, że go to rozgniewa, zmieniła temat:

- Nie powiedziałaś mi, co się stało z Francuzem. W tym momencie uświadomiła sobie, że jeśli dojdzie do procesu, będzie musiała składać zeznania, i ogarnął ją strach.

- Najlepsze, co się mogło stać - odparł hrabia.

- To znaczy?

Choć zabrano mu sztylet, którym groził tobie, miał drugi pod podszewką zakietu. W drodze do Tower przebił się i już nie żyje. Salrina odetchnęła głęboko, a było to westchnienie ulgi.

- Może cię zaciekawia, że książę regent zidentyfikował też Anglika.

- Zapomniałam o nim!

- Jest to człowiek cieszący się złą sławą, który chciał kiedyś oszukać księcia, próbując sprzedać mu fałszywy obraz i przysięgając na Biblię, że to oryginalne dzieło. Jego wysokość wyprosił go wtedy z pałacu Carlton i zażądał usunięcia go ze wszystkich klubów. Salrina zdawała sobie

sprawę, jaka to straszna kara dla Anglika, więc słuchała z zaciekawieniem dalszych słów hrabiego.

- Wtedy on zaprzysiął księciu zemstę i skontaktował się z Francuzami, co mu przyszło bardzo łatwo, bo od roku zajmował się przemytem na wielką skalę.

- Co z nim zrobią?

- Zostanie rozstrzelany jako zdrajca ojczyzny - powiedział surowo hrabia.

Salrina milczała przez dłuższą chwilę, a hrabia powiedział cicho:

- To załatwia wszystkie sprawy, prócz naszych: mojej i twojej, Salrino.

Salrina złożyła ręce.

- Bardzo mi przykro, że sprawiłam tyle kłopotów... ale odeszłam, bo... bo nie mogłam zrobić tego, co mi proponowałeś.

- Już cię za to przeprosiłem. Nie ma dla mnie usprawiedliwienia, chyba tylko to, że nie mogłem przewidzieć, iż moja przyszła żona będzie jeździć po kraju bez żadnej służby ani że będzie odważna, słodka, niewinna i absolutnie godna uwielbienia do tego stopnia, iż na jej widok przestanę jasno myśleć.

Salrina wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana. Potem spytała powoli:

- Czy powiedziałeś... twoja... przyszła żona?

Hrabia podszedł do niej, otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie:

- Kocham cię, Salrino, i właściwie to nie ma już znaczenia, jak się naprawdę nazywasz. Pragnę cię, bo bez ciebie czuję się niepełny i zgubiony. Jesteś właśnie taka, jakiej szukałem przez całe życie.

Ostatnie słowa mówił z ustami na jej wargach. Przytulił ją jeszcze mocniej do siebie, a przed Salriną niebo się otworzyło;

czuła, że wkracza w jasność słoneczną, a chóry anielskie im śpiewają.

Przedtem tak nieszczęśliwa, tak strasznie za nim tęskniąca, teraz stawiała się częścią jego osoby. Zniknęło uczucie osamotnienia, w tym momencie czuła się z nim tak zjednoczona, że nawet ślubna ceremonia nie mogłaby ich bardziej zbliżyć.

- Kocham cię! Kocham cię! - Chciała to powtarzać głośno, ale hrabia całował ją tak gwałtownie, namiętnie i zachłannie, jakby utracił ją przedtem, teraz chciał się upewnić, że mu już nigdy nie ucieknie. Całował ją, aż obojgu zabrakło tchu, a wtedy z twarzą w jej włosach powiedział:

- Jak to jest, że jesteś tak absolutnie inna niż wszystkie kobiety, które kiedykolwiek znałem? Jak ty to robisz, że czuję coś, czego nigdy nie doświadczałem w stosunku do żadnej kobiety?

- A co czujesz? - spytała.

- Jestem absolutnie, niebiańsko szczęśliwy! - odpowiedział. - I ciągle niepewny, czy cię znowu nie stracę. Obejmował ją mocno, aż do bólu.

- A ponieważ chcę temu zapobiec, pobierzemy się natychmiast. Nie mam zamiaru czekać i ryzykować szczęścia mojego całego życia.

Salrina szeptała, chowając twarz na jego piersi:

- Czy ja naprawdę mam wyjść za ciebie?

- Musisz za mnie wyjść - rzekł stanowczo hrabia. - Odkąd cię poznałem, wciąż mnie czymś zaskakujesz. A kiedy zniknęłaś, przeklinałem swoją głupotę i bałem się tak, jak nigdy się nie bałem wroga, rewolweru czy armaty.

Salrina roześmiała się.

- To nieprawda, nie wierzę.

- Uwierzysz, kiedy zostaniesz moją żoną: nie puszcze cię na krok od siebie ani w dzień, ani w nocy.

Wydal głuchy jęk i dodał:

- Pierwszą nieegoistyczną rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłem, było to, że widząc cię ledwo żywą ze zmęczenia, wyszedłem od ciebie tamtej nocy, mimo że pragnąłem cię szaleńczo. Wracając do swojego pustego pokoju czułem, jakby mi ktoś wbijał tysiące sztyletów w ciało.

Salrina przypomniała sobie, jaką męką było dla niej opuścić go następnego ranka, ale tylko zamruczała coś cichutko, chowając twarz na jego piersi. Poczula, że pocałował jej włosy, zanim zaczął dalej mówić:

- Wierzę, kochanie moje, że będziemy w przyszłości bardzo szczęśliwi.. Łączy nas bardzo wiele, ale nie powinniśmy poświęcać całego czasu na łapanie francuskich szpiegów i ratowanie życia regentowi.

Gdy skończył, Salrina podniosła głowę i spojrzała mu w oczy zatroskanymi oczami.

- Proszę cię, posłuchaj mnie...

- Wolałbym cię pocałować!

- Nie, proszę!

- Co chcesz mi oznajmić?

- Tylko to, że nie powinieneś się żenić ze mną - mówiła z wahaniem. - Wiesz, że nigdy nie bywałam w twoim świecie... Nie wiem nic o nim... ani o ludziach, którzy są dla ciebie ważni. Przerwała. Z trudem powstrzymała łkanie.

- Będę popełniała błędy - mówiła dalej - może będziesz się mnie wstydził albo znudzisz się mną... a to byłoby gorsze, niż gdybym cię teraz straciła.

- Ani się nie znudzę, ani ty mnie nie stracisz - odparł stanowczo. - I nie rozumiem, dlaczego miałabyś się czuć speszona czy zaambarasowana w towarzystwie moich przyjaciół czy nawet księcia regenta.

Salrina śmiała się, ale w jej głosie brzmiała nuta lęku.

- Nie rozumiesz, co mówię. Ja tu spędziłam całe swoje życie. Rozejrzyj się, a przekonasz się, jacy zawsze byliśmy biedni. Tak biedni... że czasem głodni. Nigdy nie brałam udziału w zabawach i nie miałam przyzwoitej sukienki aż do chwili, gdy pożyczyłeś mi suknię twojej siostry.

Mówiąc to sądziła, że straci go na zawsze - coś tak cennego! Będzie tego żałować do końca swego życia. Lecz przecież kochała go, musiała być z nim uczciwa, a kochając tak bardzo, ceniła jego szczęście bardziej niż własne.

Jakby to pojmując, hrabia powiedział zupełnie innym niż dotychczas tonem, tonem pełnym spokoju i czułości:

- Właśnie dlatego, że twoje życie było tak inne, moja droga, ty też jesteś inna. Czy nie zdajesz sobie sprawy, jakie to będzie dla mnie ciekawe i podniecające dać ci wszystko, czego ci było brak, opiekować się tobą, pomagać ci, abyś nie popełniała błędów, i wiedzieć, że w przeciwieństwie do innych kobiet, które przeszły przez moje życie, ty będziesz moja, wyłącznie i absolutnie moja!

Jego ramiona zacieśniły się wokół niej, a po chwili rzekł:

- Bardziej niż czego innego, moja piękna, chcę cię uczyć, co to jest miłość. Zachwyca mnie twoja niewiedza, twoja nieśmiałość i to, że jesteś tak zupełnie niewinna.

Odetchnął głęboko i mówił dalej:

- Nie mógłbym się tobą znudzić, tak jak nie mógłbym znudzić się gwiazdami na niebie, których mam zamiar dotknąć razem z tobą.

Salrina przypomniała sobie, jak jej matka mówiła: Kobieta musi zawsze inspirować męża, żeby sięgał gwiazd, choć wydają się one nieosiągalne.

- Czy mi pozwolisz, żebym uczestniczyła we wszystkim, co będziesz robił? - spytała. - Jesteś tak mądry, tak zdolny, możesz pomóc wielu ludziom, a gdy się skończy wojna, będzie mnóstwo do zrobienia dla Anglii. Ty możesz

inspirować działania, przewodzić i kierować ludźmi, którzy pójdą za tobą.

Widziała, że hrabia patrzy na nią ze zdumieniem, więc dodała:

- Proszę cię, pozwól mi być razem z tobą... i pomagać, choćby troszeczkę.

- Z tego, co właśnie powiedziałaś, wnoszę, że nie będzie to „troszeczkę”, lecz bardzo dużo - odparł. - Salrino, jesteś tak doskonała, że sam się zastanawiam, jak mi się udało cię zdobyć.

Przyglądał się jej dłuższą chwilę, a potem dodał: - Nie odpowiedziałaś mi, Salrino, kiedy wyjdiesz za mnie? Bo nie mam zamiaru czekać ani minuty dłużej niż to konieczne.

Salrina zaśmiała się, ale śmiech ten był bliski łez.

- Teraz! W tej chwili! - odpowiedziała. - Jeśli mogę zostać twoją żoną, przysięgam, że zrobię wszystko, abyś był szczęśliwy. Będę cię kochać i uwielbiać zawsze, zawsze.

Wtedy usta hrabiego dotknęły jej warg i zaczął ją całować, najpierw prawie z szacunkiem... jakby była czymś cennym i świętym. Po chwili jednak Salrina poczuła, że zaczyna go podniecać, że jego usta płoną żarem i wzniecają drżące płomyki w niej samej. Było to coś tak wspaniałego, tak cudownego, było częścią tego nieba, które, jak sądziła, utraciła na zawsze; więc poddała się mu całkowicie, czując szalone bicie jego serca tuż przy swoim.

Po długim czasie hrabia podniósł głowę i spytał dziwnie rozdygotanym głosem:

- Co czujesz teraz?

- Że jestem w raju!

Mówiąc to Salrina przypomniała sobie, że opuszczając Fleet, czuła się, jakby ją z raju wypędzono.

- Jesteś szczęśliwa?

- Niezwykłe, wspaniale, cudownie szczęśliwa i bardzo...
bardzo... podniecona...

Ostatnie słowo wyjąkała, kryjąc wstydlawie twarz. Hrabia delikatnie wziął ją pod brodę i uniósł twarz do góry tak, aby mógł patrzeć jej w oczy.

- Czy to cię jeszcze przeraża?

- Nie bardzo - szepnęła. - Ale może cię to zrazi, gdy miłość uczyni mnie nieskrępowaną i szaloną.

Hrabia śmiał się czule, mówiąc:

- Moja słodka, moje kochanie... czy jest na świecie ktoś bardziej kuszący niż ty? Uwielbiam cię!

- Nie będziesz zaszokowany?

- Mogę się tylko obawiać, abym ja ciebie nie zaszokował. Lecz myślę, mój skarbie, że płomienie miłości ogarną nas jednakowo.

I znów ją całował, aż w końcu nie wiedziała, czy jest na ziemi, czy szybuje wśród gwiazd do raju, który dla nich stworzył Bóg.

Hrabia wiedział, że oto odnaleźli ten ideał miłości, którego pragną wszyscy, lecz tylko nielicznym szczęśliwcom udaje się go osiągnąć.

- Kocham cię! Boże, jak cię kocham! - powiedział ochryple. I znów ją całował, a słowa nie były im już potrzebne.

Miłość opanowała serce Salriny, jej umysł, duszę i jej ciało. Ta miłość sprawiła, że oddała się jemu, a on jej i nie było już dla nich odwrotu.